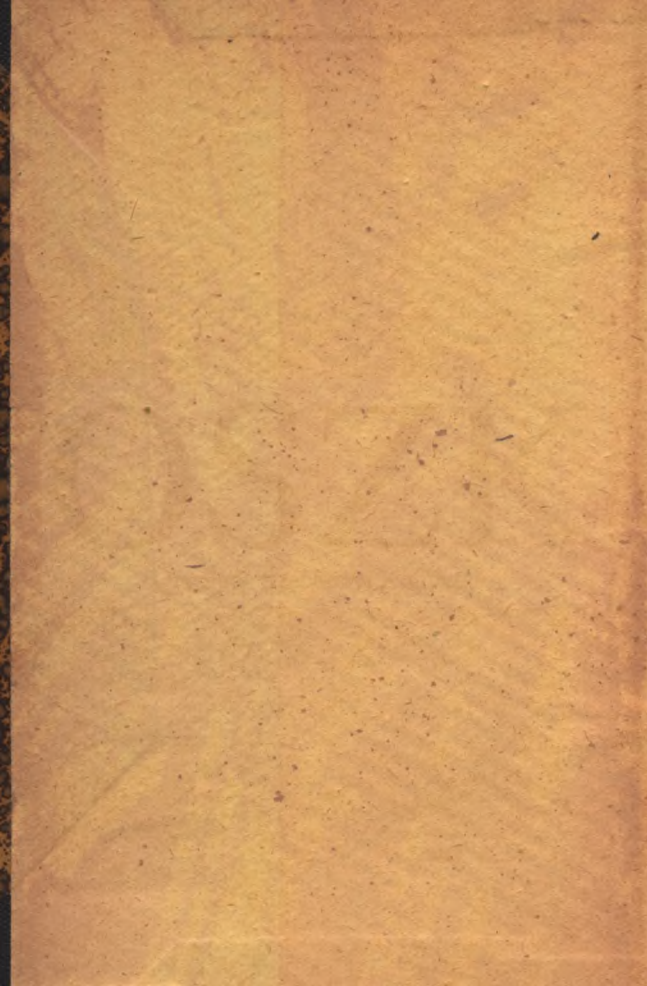
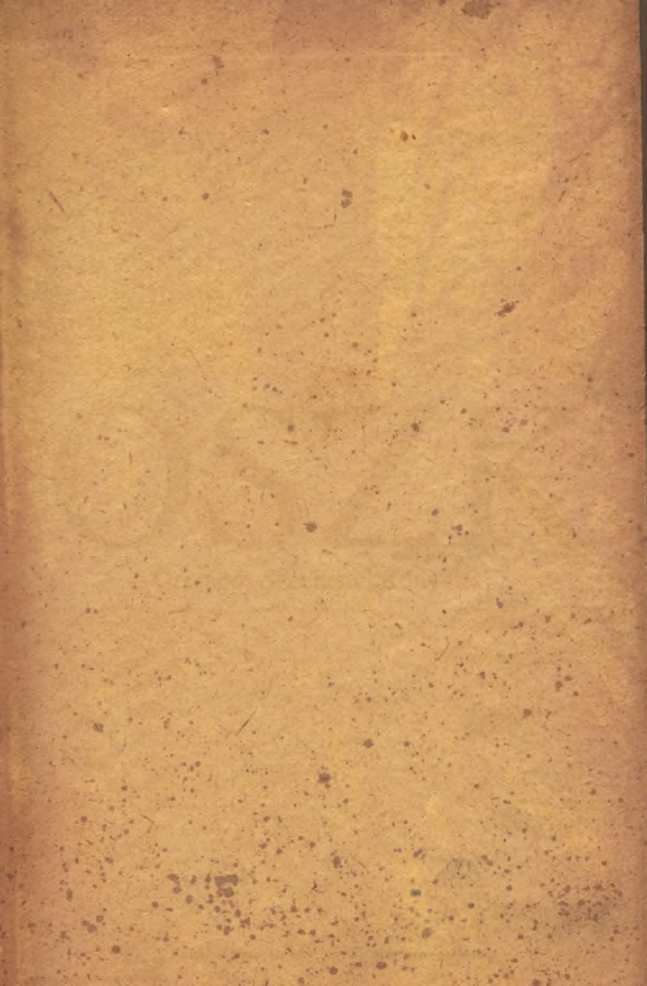


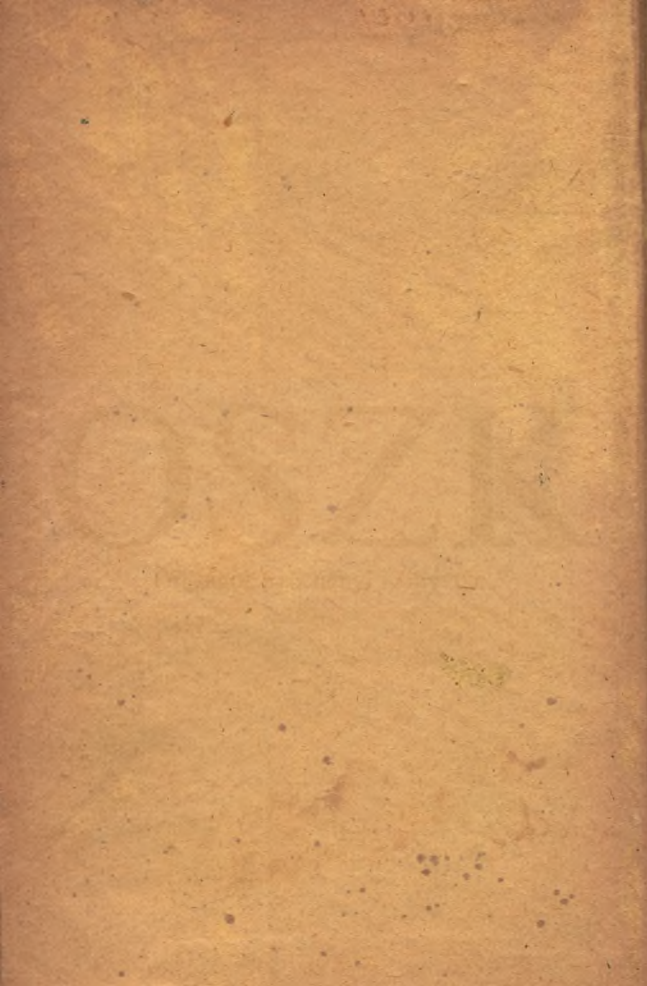
NEM

Petőfi, Stry OzeK Kata

164163









Wislickiego Adama

63 i 64.

Aleksander Petöfi.

STRYCZEK KATA
POWIEŚĆ

przekład

A. CALLIER.

WARSZAWA

1885.

Cena kopiolek 24.

2. July 9.
8345

Дозволено Цензурою,
Варшава, 25 Августа 1883 года.



41.535

N. N. MUZEUM KONYUTAI
H. Nyomf. Növevények
19/8 év 232. sz.



Druk Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

164163

I.

Bezgranicznie wysoko jest Twój przybytek, o Boże!
Dwadzieścia sześć lat wzbijała się moja modlitwa,
zanim wreszcie dobiegła do Ciebie.

Ale dobiegła do Ciebie!

I Tyś ją wysłuchał, Panie — wysłuchał!

Jak gorącą była moja modlitwa, tak gorącem jest
teraz moje dziękczynienie.

Dzięki Ci, Panie, dzięki!

Zamknąłem z życiem mój rachunek.

Nie mam już co robić na ziemi. Najszczęśliwszym
byłbym, gdybym mógł umrzeć, ale nie chcę Cię
obarczać memi prośby, Boże! Toż byłeś takim, ta-
kim dla mnie łaskawym — wysłuchałeś największe-
go mego pragnienia... skoro słońce świeci, na cóż
gwiazd jeszcze?

O nic Cię już nie proszę, mój Stwórco! Dość mi
dotychczasowej Twej łaski.

Łaskawym jesteś, łaskawym nieskończenie.

Błogosławionem niechaj będzie Twe Imię po wsze
czasy, po przez wieczność całą błogosławione!

I tak już długo żyć nie mogę. Jestem starym, bardzo już starym. Lat siedmdziesiąt. Ręka moja, co trzyma teraz pióro drży, tak jak drżała przed pół wiekiem, gdy dotykała ręki owej dziewczyny, którą kochałem. Czy też będzie mógł kto odczytać tę życia mego historię, którą kreślę drżącą ręką?... Może i lepiej, że jej nikt nie przeczyta, bo straszna to historia, okropna...

II.

Róża, Róża!

Ha, ona była przekleństwem mego życia, a jednak gdy wymawiam jej imię, muszę westchnąć. Prawda, ona była mego życia przekleństwem, ale zarazem i jedynem jego szczęściem. Szczęście było bardzo krótkie, przekleństwo bardzo długie... maleńki płomyczek, a słup dymu co się w niebo wznosi.

Różę kochałem pierwszą życia miłością. Wprawdzie przed nią mówiłem już innej, że ją kocham; ale kłamałem wówczas... Ach, może też dla tego doścignęła mnie klątwa. Nie, nie... kłamstwo takie nie zasługuje na tak wielką karę. Gdybyż jednak, gdyby tak być miało!... Któż nie zna pierwszej miłości? Tego niespodziewanego, drogiego gościa, co wchodzi nieoczekiwany i osypuje nas wszystkimi gwiazdami, wszystkimi kwiaty świata czarów; a gwiazdy zabierają nam blask oczu, a woń kwiatów upaja nas, odurza...

Tak było ze mną, gdym ujrzał Różę.

Nogi podemną zadrżały. Nie wiele brakło, bym padł na kolana i modlił się... modlił do niej.

Wszystko, co było kiedy pięknego w świecie od jego stworzenia, wszystko to zagościło w tej chwili w mem sercu i tak ochotnie byłbym to wszystko powiedział Róży... a nie mogłem wymówić ni jednego słowa, język mój zapomniał mowy. Zdawało mi się, że ona to spostrzegła... bo widocznie unikała mego wzroku. I prawdziwą było mi to radością, bo gdyby była spojrzała na mnie, nie byłbym śmiał podnieść na nią oczu. Pierwsza miłość wraca sercu pierwotną jego niewinność; wówczas to widzieć można dopiero, jak czysta wychodzi dusza z rąk Stwórcy.

Od Róży wpadłem do Ternyei'ego. Mówię wpadłem, bo byłem zupełnie bezprzytomny; nie widziałem co robię, dokąd mam iść. To tylko spostrzegłem naraz, że byłem w pokoju Ternyei'ego.

— Mój przyjacielu! zawołałem.

Powitał mnie ze zwykłą uprzejmością.

— Mój przyjacielu! zawołałem ponownie.

— I cóż? spytał?

— Mój przyjacielu!

— To już słyszałem; a dalej?

— O, mój przyjacielu!... więcej nie mogłem powiedzieć, padłem mu na szyję i wybuchnąłem płaczem.

— Patrzaj, mówiłem po chwili, chciałem śmiać się, a ot płaczę; nieprawdaż, że szalony?

— Choćbyś mi tego sam nie powiedział, to niezadługo musiałbym zacząć w to wierzyć, odrzekł.

— Wierź mi, że jestem szalonym, najkompletniej szalonym. jeśli jednakże takim jest szaleństwo,

wówczas żałuję, że już dawniej nie oszalał. Ale mój Baltazarze, nie jesteś widocznie prawdziwym moim przyjacielem, bo nie dzielisz całkiem mojej radości.

— Ależ, mój chłopcze, ja dotąd nie wiem nawet czy ty się smucisz, czy cieszysz?

— Cieszę się, przyjacielu, cieszę...

— I jakaż to przyczyna tej szalonej radości?

— Toż wiesz przecie...

— Zkądże miałbym wiedzieć?

— Więc ci dotąd nie powiedziałem?

— Ani słowa...

— Patrzaj, a ja mam być przekonany, że ci już wszystko opowiedział. Słuchaj więc... usiądź tylko... siadajmy... opowiadam. Czy ty wiesz, gdzie ja byłem?

— Nie.

— W niebie.

— W niebie?

— Tak, w niebie!

— I w którymże to?

— W siódmym, kolego.

— Dobrze. Już co teraz, to wierzę w zupełności, żeś rozum postradał.

— Chcesz, czy nie chcesz wierzyć, Baltazarze, ale byłem w siódmym niebie; lub, mówiąc lepiej, siódme niebo zeszło mi na ziemię. To tylko pewna, że widział najpiękniejszego z aniołów.

— Ach to tak!

— Widziałem ową postać, co służyła Stwórcy za model, gdy z nicości wyprowadzał aniołów chóry.

— Bettinę?

Gdy Ternyei wymawiał to imię, poczułem coś nieokreślonego: ból czy wściekłość? Nie wiem; — ale zerwałem się nagle jakby mię kto w bok uderzył rozpalonem żelazem. Zaraz jednak uspokoiłem się — i pozostało mi już tylko obrzydzenie do siebie samego?

— Baltazarze, zawołałem, jeśli jesteś moim przyjacielem, nie wymówisz już nigdy tego imienia w mej obecności?

— Przebacz, mój kochany, ale trudno mi było wiedzieć, że już kochasz inną...

— Już kocham inną? Nie kocham żadnej innej; bom też dotąd żadnej nie kochał; dziś kocham po raz pierwszy.

— Przebacz! Byłem niesprawiedliwym względem ciebie, przyznaję. Choćby przypuszczać tylko, że mogłeś kochać taką jak tamta... ale dajmy jej pokój; nigdy już o niej nie wspomnę, skoro tego sobie życzysz. A więc nowa twa ukochana... raczej twa ukochana...

— Ona nie jest jeszcze moją ukochaną.

— No, przecież masz nadzieję?

— Któżby jej nie miał. Nadzieja to towar tak tani, że nabyć ją może najbiedniejszy nawet... choćby był tak ubogim jak ja nim jestem.

— I jakże daleko już zaszliście?

— O, wcale jeszcze niedaleko.

— No, to niewiele. Ale czyś z nią mówił?

— Naturalnie!... to jest właściwie nie, prawdziwie jeszcze z nią nie mówił dotąd.

— Więc?

— Widziałem ją tylko.

Ternyei cmoknął językiem, jakby chciał wymówić pogardliwie: marzycielu, biedaku!

— Widziałem ją tylko, ciągnąłem dalej, ale widok ten wystarczył, by mi dać pewność, że mogę być albo wiekuiście szczęśliwym, albo potępieńcem na wieki?

— Aj!

— Nie wyśmiewaj, Baltazarze. Ta dziewczyna musi być moją żoną, albo...

— Albo inna zostanie twoją żoną.

— Nigdy, przysięgam.

— Ach, mój chłopcze i ja nieraz tak przysięgałem.

— Tem gorzej dla ciebie.

— Mam nadzieję, że i u ciebie to nie po raz ostatni...

— Ani słowa więcej, Baltazarze. Może i ty mówisz prawdę. Nie masz zmienniejszego wichru nad ludzkie serce. Ale zdaje mi się, że moje jest wyjątkiem; moje uczucie jest tak świętem, że ty, jeśli już nie jako człowiek, to jako przyjaciel winienesz je uszanować.

— Dobrze, już nie lękaj się, nie będziesz mógł o to skarżyć się na mnie... a więc owa piękność jest tak bardzo piękną?

— Co to za piękność! mój przyjacielu, co za pełna blasku piękność! Istna gwiazda zimowego nieba!

— Blondynka? brunetka?

— Brunetka tak ciemna jak wieczorne zmroki.

— Ach, to mój gust właśnie.

— Tak? a cóż dopiero gdybyś ją zobaczył!

— Spodziewam się, że ją zobaczę...

— Musisz ją widzieć, by osądzić, czy słusznie lub niesłusznie, rozum mój i serce w takim są rozstroju?

— A jeśli i ja w niej się zakocham?

— Nie, Baltazarze, tego nie uczynisz, tego nie możesz uczynić. Czyż byłbyś w stanie unieszczęśliwić najlepszego twego przyjaciela, zrobić go nędzarzem?

— A jeśli ona kocha już innego?

Chciałem zerwać się z mego siedzenia, ale nie mogłem. Zdrętwiałem od stóp do głowy. O czymś podobnem dotąd niepomyślałem; a boleść, jaką mi myśl ta sprawiła, była miarą wielkości mego uczucia.

— Nie bądzże dzieckiem, mówił Ternyei; twarz ci zbladła jak zmaczany w wapnie pendzell., cóż to za małoduszność! ja tak ci powiedziałem, a ty zaraz rozpaczasz. Ja bym się nie lękał, chociażby tak było w istocie. Do licha, jeśli kocha innego, to sprzątnij mu ją z przed nosa. W tem rzecz.

— O nie to, nie to, mój drogi. Jeśliby mnie ktoś odarł z całego majątku, mógłbym mu przebaczyć; ale temu, coby mi wydarł skarb mej duszy, ukochaną kobietę, nie przebaczyłbym nigdy!

— Mówisz z książek, mój chłopcze...

— Z duszy, z świętego mej duszy pisma!

— Dusza nie ma pisma świętego, co najwyżej posiada kalendarz, który co rok nowym jest zastępowany.

— Bolesnie jest słyszeć coś podobnego od przyjaciela.

— No, ja to mówię tylko względnie do miłości.

— Chociażby nawet w tym tylko względzie. Kto nie ma szlachetnych pojęć o miłości, ten niepojawia niczego szlachetnie.

— Mówmy o czem innem. Zaczynasz być jakoś gorzkim, jakkolwiek niezasłużyłem sobie na to u ciebie; a może masz wierniejszego nademnie przyjaciela, powiedz!

Pomieszany, pochwyciłem jego prawicę i zawołałem:

— Przebacz mi przyjacielu...

Baltazar Ternyei był wielkim panem, obok tego był słynnym graczem i jak sądziłem, moim przyjacielem. Wielki pan i gracz i... przyjacieli! Ale w coś człowiek nie wierzy w dwudziestym drugim roku życia?

III.

Codziennie chodziłem pod oknami Róży, tak, codzień po kilka razy odprawiałem do jej domu pielgrzymkę. Skorom ją spostrzegł, zawracałem nagle z obawy, by i ona mnie nie zobaczyła czasem; ale gdy ją nie widział, byłem w rozpacz. Byłem okropnym tchórzem... jakim zazwyczaj jest każdy młodzieniec, kochający po raz pierwszy w życiu.

Wiele ubiegło tygodni, zanim się stałem nieco odważniejszym... nim zdobyłem się na odwiedzenie Róży, ale i wówczas wtedy tylko, gdy nie była samą. Ternyei'ego nieraz namawiałem, żeby mi towarzyszył, zawsze jednak musiał wtedy właśnie iść gdzie indziej.

— Kto jest w domu? pytałem raz służącą Róży.

— Panna, odpowiedziała mi.

— I?

— Nikt więcej; panna jest samą zupełnie!... racz pan wejść.

— Nie... to nie było moim zamiarem... potem...

Tak bełkotałem coś, odchodząc.

Drzwi się otwarły. Wyszła Róża.

— Ah, pan tutaj? Witaj nam pan... zawołała.

— Chciałem złożyć uszanowanie... wybąknąłem, nie wiedząc co mówię.

Wprowadziła mnie do pokoju.

— Przychodzisz pan w samą porę, rozpoczęła, już się nudziłam; jestem samą zupełnie.

— Lękam się, że w mojem towarzystwie znudzisz się pani bardziej jeszcze.

— A to czemu?

— Bo ze mnie zły towarzysz... przyzwyczajony jestem mówić bardzo niewiele, lub słuszniej mówiąc, całkiem nie umiem rozmawiać...

— O! ja nie lubię zbytniej rozmowności...

Do tej pory wiedziałem, że jest wprost odwrotnie. Róża była szczebiotką. Mimo to wszakże ucieszyły mnie jej ostatnie słowa, bo wypowiedziane były ze względu na mnie. Łamałem sobie głowę, aby jej odpowiedzieć. A tu ni jedna myśl nie przybywała mi w pomoc. Mieszałem się. Czerwieniłem. Twarz mnie paliła.

— Ah, począłem, chcąc pokryć powód mego zaczerwienienia, wiatr tak silnie wieje wprost w twarz idącemu...

— Wiatr? spytała Róża z uśmiechem.

— Nielitościwy wicher, powtórzyłem.

— Ależ to niemożliwe, przecież w ogrodzie nie poruszają się nawet listki na drzewach.

— Widocznie więc już ustał, odpowiedziałem rumieniąc się więcej jeszcze, skorom spostrzegł moją niezręczność.

I zamilkliśmy na nowo.

Począłem rozmyślać nad tem, jak się to dzieje, że i Róża taka jest milcząca, skoro zwykle... Wytłómaczyłem sobie objaw ten na moją korzyść. Jakaś rozpaczna stanowczość opanowała mnie nagle. Teraz lub nigdy, ozwało się coś w głębi mego serca i... postąpiłem ku niej. Ostrożnie pochwyciłem jej rękę... w tem opuściła mnie znów odwaga. Począłem żałować mojej śmiałości. Ale nie, pomyślałem, teraz już się nie cofnę, choćby tuż pod memi stopami był wykopany grób, któryby mnie przy pierwszym zaraz słowie pochłonał. Silnie ująłem jej rękę... moja drżała, ale poczułem że i jej drżała równie.

— Panno Rózo, wymówiłem wreszcie, wyszeptalem raczej, bo nie miałem dość siły, by jakiś ton silniejszy wydać; panno Rózo... cóż mam powiedzieć?... jak mam powiedzieć?... ja kocham panią..

Róża nie mówiła, ale na długich jej ciemnych rzęsach zadrżała łza, której nie byłbym oddał za wszystkie dyamenty brazylijskiej korony, bo to była perła, która dozwoliła mi przeczuwać bezgraniczną głębię uczuć morza.

— Rózo, ja cię kocham! powtórzyłem nieprzytomny niemal, kocham cię!

Płakaliśmy oboje we wzajemnym uścisku. Wreszcie usiedliśmy obok siebie. Alboż ja wiem, cośmy z sobą mówili, czyśmy mówili?

.. Jednakże... przypominam sobie, że mówiła między innemi:

— Pocoś mi mówił, że mnie kochasz. Ja i bez tego wiedziałam o tem. Oko dziewczyny miałoby nie dojrzeć kto ją kocha? A gdybym nawet tego nie dojrzała: serce szeptało mi wciąż, że mnie kochać musisz... Oh! gdybym nie była miała tej nadziei, tej pewności, może dziś byłabym już tam, gdzie jest spokój dla serc złamanych. Bo uważ, od pierwszej chwili, gdyśmy się spotkali, należę do ciebie. Tak, więcej jeszcze mogę powiedzieć: nazywasz się Maciej Andorlaki. Gdym posłyszała to imię, zanim cię poznałam, coś dziwnego poczułam, coś niewytłomaczonego. Wówczas nie wiedziałam co to jest. Dziś wiem, że to była miłość. Zawsze było mi jakoś dobrze, gdym słyszała to imię i zawsze tak byłam ciekawa człowieka, który je nosi. Wreszcie zobaczyłam go, zobaczyłam ciebie. Jak chętnie byłabym patrzyła bez końca, ale nie śmiałam, bo twoje oczy bezprzestannie mnie ścigały. Toć nie bierzesz mi za złe tej mojej szczerości? Prawda, że poniekąd dziś po raz pierwszy z sobą mówimy, ale to nic: kochamy się, a ci, co się kochają, są od pierwszej chwili dawnymi znajomymi. Zdaje mi się, że kiedyś już dawniej, byliśmy oboje dwiema sąsiednimi gwiazdami, ty spadłeś pierwszy, ja nie chciałam samą pozostać na niebie, zbiegłam za tobą, by cię odszukać i teraz znalazłam! Dziś mi to wszystko jedno, czy będziemy

na niebie, czy na ziemi, byłem była z tobą.... bo — nieprawdaż — bo my się już nigdy nie rozłączymy?

— Rozłączyć? Z tobą, nigdy!... ale....

— Ale? Jakie ale?....

— Twoi rodzice, kochana Rózo!

— Moi rodzice? Rodzice są przecież na to, by swym dzieciom udzielili błogosławieństwa.

— A jeśli nam go nie udziela?

— Dla czegożby go mieli nie udzielić?

— Bom ja ubogi....

— Toż oni sami nie są zbyt bogatymi...

— Dla tego też właśnie...

— Nie mówmy już o tem, przerwała mi Róża. Moi rodzice zezwolą, a jeśli by nie zezwolili... mimo to, gotowam skazać się z tobą na głód, na zimno... kochaj mnie tyłko!

I oplotła mi szyję swemi ramiony, całowała, gładziła czoło, na którym wówczas nie było zmarszczek, lecz włosów pukle, a na którym dziś nie ma włosów, tylko zmarszczki.

IV.

— No cóż, mój przyjacielu, co mówisz o Róży? spytałem Ternyei'ego po pierwszych odwiedzinach, które wraz z nim oddałem rodzicom mej ukochanej.

— Doprawdy, piękna dziewczyna, dzielna dziewczyna, odparł Ternyei. Cudna dziewczyna, słowo honoru!

— Czy dziwisz się teraz jeszcze, że tak nią był zachwycony?

— Dziwię się... to jest, nie dziwię się, nie!

— No, dokądże teraz idziesz? spytałem go, gdyśmy już przeszli kilka ulic.

— Do domu.

— Do domu? Toż już dawno minęliśmy twoje mieszkanie.

— Nie może być! zawołał Ternyei, oglądając się; do licha, istotnie... no, to wracajmy.

Nazajutrz spotkałem się z nim znowu.

— Jakiś nieswój jesteś, spytałem go, co tobie?

— Ah, dzisiejszej nocy grałem i przegrałem wiele.

— Przecież tobie rzadko zdarza się przegrywać...

— Śtraszliwie byłem roztargniony, licho wie gdzie tam biegały moje myśli.

Począłem przeczuwać, z trwogą przeczuwać, gdzie były jego myśli. Odtąd już nie brałem go z sobą do Róży i z wolna nikły moje obawy, bo i sam Ternyei nigdy mi nie proponował, żebym go zabrał z sobą do mej narzeczonej.

Nikczemnik chodził tam sam bez mojej wiedzy.

Raz niespodzianie powiedziała mi Róża, że Ternyei prosił o jej rękę.

— A tyś mu jej nie odmówiła, nieprawdaż? krzyknąłem.

Biedne dziewczę stanęło jak skamieniałe, popatrzała na mnie, łzy strumieniem toczyły się jej po twarzy.

— Zcałowałbym łzy twoje, wołałem już zmiękły, zcałowałbym twoje łzy, droga moja Różo, ale nie godzien tego! i okrywałem pocałunkami jej rękę.

— Przebac mi, droga moja, przebac! wyrządziłem ci przykrość, ale przebac; rozum mój opusz-

cza mnie na tę myśl samą... nie wiem, co mówię... co czynię. Bądź zdrowa!

Jak szalony wybiegłem od niej wprost do domu; ale przyszło mi na myśl, że chciałem iść do Ternyei'ego. Pobiegłem tam. Nie zastałem go. Muszę go znaleźć choćby mi go przyszło szukać aż do dnia ostatecznego sądu! myślałem i po kolei obiegłem wszystkie domy gry, gdzie go najłatwiej znaleźć mogłem. Nakoniec znalazłem go. Siedział właśnie u zielonego stolika.

— Baltazarze Ternyei! zawołałem, spostrzegając go.

— Ach, dobry wieczór, przyjacielu! było powitanie.

— Ja twoim przyjacielem? Twoim wrogiem!

— Aj, kolego, cóż u licha to ma znaczyć?

— Właśnie chcę ci powiedzieć, co to ma znaczyć!... chodź!

— Poczekaj chwilkę, gra zaraz się skończy; przedtem przecież wstać nie mogę.

— Chodź, kiedy ci mówię! krzyknąłem, chwytając go za kołnierz surduta.

— Ah, to nie żarty...

— I ja tak sędzę!... i począłem nim trząść niemiłosiernie.

Inni rozłączyli nas. Co się stało potem? Nie wiem; straciłem przytomność.

Nazajutrz przyszedł do mnie. Zastał mnie w łóżku, bom jeszcze był słaby. Podał mi rękę; usunąłem moją.

— No, wytłómaczże mi, o co ci chodzi? Czegoś chciał wczoraj odemnie?! zawołał.

— Co ja chciałem? chciałem cię wyzwąć na pojedynek: potem dopiero przypomniałem sobie, że nawet nie umiesz się fechtować.

— Na pojedynek? I z jakiegoż to powodu?

— Co? chce mi wydrzeć ukochaną kobietę, skarb mojej duszy; potem pyta, z jakiego powodu pojedynek?

— Głupi chłopcze, wymówił z uśmiechem, a więc to z powodu takiej drobnostki tyle hałasu?

— Drobnostki!

— Alboż to zasługuje na inną nazwę. Raz już wypowiedziałem ci moje poglądy w kwestyi kobiet.

— I ja wypowiedziałem ci moje.

— Chory jesteś, mój przyjacielu, chory; ale mam nadzieję, że zczasem wyzdrowiejesz!

— Ale ty zachorujesz, Ternyei i to przezemnie, jeśli nie zaniechasz twego podstępного postępowania...

— Czekaj, Macieju, pozwól mi się wytłómaczyć. Probujemy się porozumieć. Wiesz ty co?... no... prawdę mówiąc... ja również kocham Różę... nie zrywaj się, nie przerywaj mi... pozwól mi dokończyć. Kochasz Różę i ja ją kocham; chcesz się z nią żenić, ja również...

— Milcz! przerwałem mu.

— To ty milcz, póki ja mówię. Potem będziesz mógł mówić. A więc obaj chcemy się żenić z Różą. Ona prawdopodobnie jest za tobą; za mną jednak jej rodzice. To bardzo naturalne: jam bogaty, tyś ubogi. I czyś ty o tem pomyślał, Macieju, czyś pomyślał, że jesteś ubogim? I że małżeństwo dla biedaka jest męczarnią bez końca? Mogłżebyś z czy-

stem sumieniem patrzeć na to, jak ukochana przez ciebie kobieta cierpi nędzę, jak się gryzie i martwi? Co?... zastanów się nad tem wszystkiem, mój kochany Macieju.

— A gdy się zastanowię?

— To pojmiesz, że nie dla ciebie małżeństwo.

— A wtedy?

— Wtedy sam uznasz, że lepiej dla ciebie będzie rzec się Róży. Zrzecz się jej, kochany przyjacielu. Wiesz co? Jeśli się jej zrzeczesz, połowa mego majątku do ciebie należy. Będę tyle wspaniałomyślnym

— Wspaniałomyślnym! Podłym chyba!

— A więc, nie przyjmujesz mojej propozycji?... Jeszcze nigdy nie widział w człowieku ubogim tyle uporą!

— Dosyć... dosyć na teraz... wynoś się...

— Pozwól, jeszcze ci powiem jedno...

— Nic już nie chcę słyszeć...

— Dobrze, więc o tem cię uprzedzam tylko...

— Ani słowa, ani słowa!...

— O tem tylko, że jeśli Róża nie ma być moją żoną, nie będzie też i twoją!

Chciałem mu odpowiedzieć, ale oddalił się nagle.

V.

„Jeśli Róża nie ma być moją żoną, nie będzie też i twoją!”

O, jakież męczarnie sprawiały mi te słowa. Dniem i nocą szumiały mi w uszach, a szum ich tak mi

był strasznym, jak odgłos dzwonu na trwogę dla właściciela palącego się domu; zdało mi się, że słyszę szum staczającej się z gór wód fali, co mnie za chwilę pochłonie. Nakoniec zniknęło widmo, co mnie przerażało bezprzestannie. Zaręczyłem się z Różą.

Ternyei'ego od ostatniego zajścia już nie widziałem, a w czasie, gdy byłem narzeczoną Róży, nie przyszedł mi on nawet na myśl; niedziw, jedyną myślą moją była Róża. O! jak ja ją kochałem!

Gdy dziś jeszcze o niej myślę, dziś, kiedy już blisko pięćdziesiąt lat ubiegło, taje mi część owego morza lodowców mej piersi, które inni zowią sercem.

W przeddzień naszego ślubu byłem u Róży po południu. Żartowaliśmy, drażniliśmy się wzajem i śmieli jak dzieci.

— Jutro o tej porze, droga! szepnąłem żegnając ją.

— Jutro o tej porze! powtórzyła z zapalem.

— Ha! gdyby człowiek mógł znać przyszłość!...

VI.

Ów dzień wielki, uroczysty nadszedł.

Gdy po raz pierwszy spotkałem Różę, unikałem Bettiny, unikałem jej nawet w myślach; nic o niej nie słyszałem, nic nie chciałem słyszeć i... nocą śniłem o niej dla tego. Gdy się zbudziłem, myślałem całkiem obojętnie. Zdało mi się, że to utopiona, co już długo była pod wód falą, a teraz raz jeszcze wypływała z ich głębi, by znów zatonać na wieki. Przy pływała na fali mego zapomnienia i zdawało mi

się, że księżycowe wspomnień światło ostatnim bladym promieniem padło na twarz umarłej.

Sen ubiegłej nocy szybko mi wypadł z pamięci.

Wreszcie nadszedł czas, w którym mieliśmy iść do kościoła, do ołtarza; czas, o którym mówiliśmy wczoraj z Różą: jutro o tej porze! W niemym zachwycie wzrok mój spoczął na pięknej pannie młodej. Jak pięknie jej było w tym stroju, z wieńcem mirtów na głowie. I wszystka ta piękność była moją, moją wyłącznie! myślałem, a myśli tej nie byłbym oddał ze całe gwiazd niebo.

Waselni goście się zebrali. Mieliśmy iść już do kościoła, gdy... wszedł Ternyei.

— Zechcecie państwo wybaczyć, że nieproszony wciskam się w wasze grono; przemówił: ale mam arcyradosną dla mego przyjaciela wiadomość, którą gdybym miał zwlec bodaj o minutę, uważałbym sobie za grzech niedarowany. Mój kochany Andorlaki! nieprawdaż, żeś się sam nie spodziewał obchodzić dziś podwójnej uroczystości? mianowicie: wesela i chrztu dziecięcia.

— Cóż mnie może jakiś chrzest obchodzić! odpowiedziałem.

— Ah! na miłość Boską, jakże cię niema obchodzić? ciągnął Ternyei, toż jesteś ojcem... tak; mój kochany, twoja Bettina obdarzyła cię synem...

Była to scena istnie cmentarna. Zdawało mi się, że zamiast głosu Tyrnyei'ego, słyszę dźwięk wieżowego zegara, co uderza dwunastą i z grobów wywołuje duchy potężnem zaklęciem.

Blade twarze i cisza.

— Jakto mój przyjacielu, taką więc niemą jest ojcowska twa radość, jakto? Ale kto nie jest dobrym ojcem, nie może być i dobrym mężem... mówił dalej Ternyei.

Mógłby był mówić dłużej, nie byłbym mu przerwał; język mój był zesztyniały, nieruchomy. Ale Róża mu przerwała:

— Mój panie, to postępek bezwstydnym i dowodzący braku wychowania! Staraleś się pan o moją rękę i zostałeś odrzuconym... Byłeś rywalem pana Andorlaki... to wystarczy za objaśnienie...

Tymczasem i ja oprzytomniałem i zawołałem:

— Tak, to starczy za objaśnienie i... ale zbyt się cenię, bym uważał za potrzebne tłumaczyć się z tak niskiego zarzutu.

— Nie, Macieju, nie trzeba, byś się tłumaczył, ani słowa do tego oszczercy! wymówiła Róża, silniej przyciskając się do mego ramienia.

— Mój panie, ozwał się ojciec Róży do Ternyei'ego, byłby już czas, byś nas opuścił!...

— Dobrze więc, oddalam się, odparł Ternyei, ale jeśli nie chcesz pani słyszeć, będziesz mogła zobaczyć; żegnam was, panowie i panie, Bóg z tobą, kochany mój Macieju. Życzę ci szczęścia w małżeństwie.

Gdy się drzwi za Ternyei'em zamknęły, zdało mi się, że miałem sen jakiś przykry, że m snił jak mnie duszono... zbudziłem się i odetchnąłem głęboko...

Przyspieszałem chwilę ślubu. Myślałem, że pośpiech chwiejne szczęście mego życia (na silniejszej stawi podwalinie. Chciałem biedz, lecieć do ołtarza.

Ach! czemuż się tak spieszyłem!... Opóźnienie kilku minut byłoby może odwróciło od mej głowy pięćdziesięcioletnią klątwę.

W chwili, gdyśmy wchodzili do kościoła, wychodziły z niego dwie kobiety... z świeżo ochrzczonego niemowlęciem.

Boże mój! zlituj się nademną! westchnąłem z głębi piersi i w mem pomieszkaniu pochwyciłem tak silnie ramię sąsiada, że omal nie krzyknął.

Róża niepewnym krokiem podeszła do owych kobiet i spytała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Czyje to dziecko?

— Dziecko biednej dziewczyny, odpowiedziała jedna z kobiet.

— Dziecię dziewczyny?! zawołała Róża.

— Niestety, dziewczyny.

A ja musiałem to słyszeć!

Róża zwróciła się ku mnie i oczy utkwiła w moich oczach... takim spojrzeniem archanioł wygnał z ziemskiego raju Adama i Ewę.

— A więc to prawda istotnie? mówiła; usprawiedliwił się. Milczysz? prawdą więc jest, żeś oszukiwał.

— Nie, Różo, na Boga, nie ciebie... wybąknąłem.

— Nie mnie? a więc inną, nieprawdą?... a jak oszukałeś inną, tak będziesz mnie później oszukiwał...

— Chodźmy. Różo, choćmy ztąd i posłuchaj mnie...

— Nie chcę słuchać tego, co mi masz powiedzieć; uwierzyłabym twym słowom, twym kłamstwom, bo cię tak bardzo kocham!... nie, ja cię już nie kocham,

choćbym miała rozedrzeć własne serce jak rozdieram ten wianek!

Zerwała z głowy wieniec mirtów i poszarpany rzucała mi pod nogi.

Turkot odjeżdżających powozów zbudził mnie z mego snu, z śmierci, czy co to było? — ja nie wiem. Stałem sam; nie mogłem uwierzyć, że to wszystko było rzeczywistością. Ale tam leżał przedemną dowód: wieniec porwany na kawały. Obejrzałem się. Oczy moje szukały niemowlęcia... mego syna. Na szczęście, już go wyniesiono, bo w rozpacz byłbym mu głowę roztrzaskał o filar kościoła... Na jego szczęście... Byłoby to dlań szczęściem? oh, nieszczęściem raczej. Byłoby ci lepiej, gdybyś wówczas tam był umarł, mój biedny, biedny synu!... przynajmniej ojciec byłby ci sam katem, nikt inny i byłbyś przynajmniej skończył u wrót kościoła, a nie...

Wyjąłem sobie listek z ślubnego wieńca Róży,

— Niechaj to będzie pamiątką, że i ja raz w życiu byłem szczęśliwym! pomyślałem i opuściłem kościół.

Nim zaszedłem do domu, zgubiłem ów liść. Powróciłem do kościoła, by wziąć inny, a gdym tam przyszedł, już zapomniałem pocem przyszedł. Wyszedłem znów. Bóg wie gdzie? Pamiętam tylko ostatnią myśl moją; była nią śmierć, samobójstwo.

Zabiję się — tak kończyłem me rozmyślenia, nie chcę żyć dłużej. Wszak już dość żyłem! Byłem szczęśliwym przez minut kilka... czy kilka miesięcy! W szczęściu tak szybko czas ubiega; a nieszczęśliwym jestem już od kilku wieków... lub od kilku godzin? Bo dla nieszczęśliwych czas się tak wlece. I mam dalej

jeszcze znosić tę męczarnię?... Pocóż ma człowiek cierpieć, skoro może tak łatwo obronić się wszelkiemu cierpieniu? Czyliż istotnie samobójstwo jest tchórzostwem?.. a choćby i było niem, cóż mnie to obchodził! Nie jestże większem tchórzostwem poddać się cierpieniu, nie módz się odważyć go zakończyć?!.. Czemuż nie miałbym z serca otrząsć toczącego je robaka, którego zowią życiem? czekamy aż sam z niego opadnie? gdy już nie mu do toczenia nie zostaje!... Żegnaj, świecie!

I poszedłem nad brzeg rzeki, by skoczyć w jej fale. Nie skoczyłem jednak, bo rzeka była zamrzniętą. Alboż przyszło mi wówczas na myśl: czy to lato, lub zima?

— To wskazówka losu, pomyślałem, on to zamknął mój grób, wymaga bym żył jeszcze. Ale poco żyć?... poco? Czyż nie jestem ojcem? Tak, będę żył, będę żył dla mego dziecka i... dla... ha, żem ja dotąd o tem nie pomyślał!... Bądź losie błogosławionym, żeś mi zamknął drogę śmierci, bądź błogosławionym! O, gdyby było jeszcze jedno życie, gdybym po śmierci był w niebie, zstąpiłbym jeszcze z krain zbawienia na tę przeklętą ziemię, by dopełnić, czegoś zapomniał dokonać. Będę żył dla mego dziecka i dla... zemsty!

Zemsta zbudziła się we mnie później, niż miłość ojcowska, a przecież silniejszą była od ostatniej. Pierwej poszedłem do Ternyei'ego, niż do mego syna.

— Bóg z tobą, mój przyjacielu, zawołał Ternyei, widząc mnie w progu.

— Nie urągaj tej nazwie. Nie drażnij mnie tym tytułem twego przyjaciela. Przyszedłem tu chłodny i na chłodno też chcę z tobą moją sprawę załatwić.

— Żart na stronę; twoja zimna krew i powaga zadziwia mnie więcej jeszcze, niż niedawno temu twoja wściekłość. Cóż ty chcesz ze mną załatwić?

— To, com był powinien dawniej już zrobić. Wymazać cię z liczby żyjących.

— Co za łaskawość! niezmiernie ci obowiązany.

— Musisz mi stanąć do pojedynku, Ternyei; albo ja ciebie zabiję, albo też ty mnie życie odbierzesz.

— Pojedynek?

— Na śmierć!

— Maciejul! Maciejul! kiedyż ty się wyleczysz wreszcie?

— Wtedy dopiero, gdy ciebie zgładzę, boś ty moją chorobą.

— Szalony jesteś, chłopcze, szalony. Miłość, a w końcu pojedynek! Śmiało powiedzieć można, że chcesz chyba historię świata wzbogacić głupstw szeregiem.

— A ja ci powiem, że daremne są twoje wykręty. Oznacz czas, miejsce i wybierz broń.

— Niech tak będzie, skoro chcesz koniecznie. A więc broń: żadna... miejsce: nigdzie... czas nigdy... Spodziewam się, że zechcesz stawić się na czas...

— Jesteś więc istotnie takim tchórzem, za którego świat cię uważa.

— No, to znów pozwól, mój kochany! Ja wzbrańm się pojedynekować nie przez tchórzostwo, ale z zasady.

— Znamy te zasady.

— Wierz mi, że...

— O! wierzę chętnie!... Ale pocóż tu tracić próżne słowa? Chcesz się bić, czy nie?...

— Już raz powiedziałem: nie.

— W takim razie, zmuszę cię.

— Chciałbym wiedzieć jak?

— Chcesz się dowiedzieć?...

Wyszedłem.

Wiedziałem z jaką namiętnością szaloną oddawał się grze. Sądziłem że łatwo będzie w takiej chwili podrażnić go tak, aby, bądź to przyjął moje wyzwanie, bądź też sam mnie wyzwiał. Z upragnieniem oczekiwałem sposobności spotkania go u zielonego stolika, na co też długo czekać mi nie było potrzeba. Grał, ale wciąż wygrywał. Musiałem plan mój na inny raz odłożyć. Następnym razem rozpoczął również wygrywać... wygrywał... już znowu chciałem się oddalić, gdy nagle szczęście się zmieniło i Ternyei poczał tracić. Przegrywał bez przerwy. Coraz, coraz się więcej zapalał i coraz też większe sumy stawiał na kartę. Wreszcie, postawił niezmiernie wiele... nadchodzi jego karta... patrzy... chce ją odrzucić, bo wygrał; wtedy nagle wyrywam mu ją z ręki i rozdieram w kawałki. Zgrzytnął zębami i rzucił się na mnie... nagle jednak ochłonął, usiadł naodwrot i z najzimniejszą krwią zawołał na służącego:

— Józefie, świeżych kart! Moi przyjaciele, dodaj zwracając się do swych towarzyszy, ten gołowąs chce mnie przymusić, abym się z nim pojedynekował, ale to mu się nie uda, ha, ha, ha!...

Uderzyłem go w twarz; natychmiast oddał mi uderzenie. Towarzysze jego śmieli się na całe gardło, a ja widząc, że tym sposobem nic nie wskóram, opuściłem ich.

Tegoż samego wieczora jeszcze, poszedłem do mieszkania Ternyei'ego. Zabrałem z sobą mego służącego.

— Zastaliśmy twego pana? spytałem lokaja.

— O, tak, — odpowiedział.

— Chodź ze mną, chodźcie obaj.

Weszliśmy.

— Zostańcie tutaj, — powiedziałem służącym. — Ternyei, przejdź do następnego pokoju.

— Po co?...

— Idziesz, czy nie?

— Ależ po co?

— Jeśli nie chcesz iść, mniejsza o to, i tu możemy się rozprawić!

— Więc chodźmy.

— Baltazarze Ternyei, począłem w drugim pokoju, pytam cię po raz ostatni: chcesz się bić ze mną, czy nie?...

— Znowu ten pojedynek? Zawsze pojedynek ci w głowie. Jeszczem też takiego nudnego człowieka nie widział.

— Baltazarze Ternyei, czy widzisz tę szpicrutę?

— No i cóż?

— Za uszy przyprowadzę cię do naszych służących i w ich obecności póty cię chłostać będę, póki nie przyjmiesz pojedynku... w obecności służby, rozumiesz?!

Ternyei pobladł.

— Udało mi się, pomyślałem.

— Ależ, z ciebie okropny człowiek, Macieju, wymówił tonem, który wbrew może jego woli był błagalnym.

Nic nie odpowiedziałem, tylko pochwyciwszy za ucho, ciągnąłem do drugiego pokoju.

— Andorlaki, chwilę, proszę cię... widzisz, gdyś mi ubliżał wobec równych mi ludzi, nie miałem ci tego za złe; ale wobec naszej służby, nie mogę pozwalać się znieważać.

— Od ciebie zależy znieść obelgę, lub ją odwrócić.

— Ale jeśli ja nie chcę się strzelać, albo, aby prawdę powiedzieć, lękam się...

— Jeszcze raz ci powtarzam: za uszy wlec cię będę i tą szpicerutą poszarpię na tobie suknie i skórę wobec służących.

— A więc jesteś niewzruszonym?

— Tak.

— Macieju, czyż się nie ulitujesz?...

— Nie.

— O, mój Boże!... nie, w obecności służby nie dam się tak piętnować; wolę już sobie dać uciąć nos, albo rękę... tak... a więc... będę się bił. Ale ty mnie wyzwałeś na pojedynek, mnie więc przysługuje prawo wybrania broni.

— Wybieraj!

— Wybieram szablę... ta nie tak łatwo śmierć niesie jak kula.

— Ale ja mam prawo... nagle namyśliłem się i dodałem: a więc na szable! kiedy i gdzie?

— Mniejsza o to, kiedy i gdzie, skoro raz już być musi.

— A więc jutro o wschodzie słońca, pod szubienicą. Ale jeśli nie przyjdiesz?

— Będę tam, słowo honoru!

— O, twój honor...

— Zawierz mi. Dałem słowo, a mam zwyczaj dotrzymywać przyrzeczeń... sam już tego doznałeś...

— Milcz, nędzniku! przerwałem mu; szyderstwo na twoich ustach, to piana, którą toczy złamany chorobą trwogi duch twój. A więc jutro o świcie, u stóp szubienicy.

I oddaliłem się wraz z moim służącym.

— Janie, mówiłem do niego przez drogę, jutro będę się bił; ty będziesz moim sekundantem.

— Chętnie, panie, a jakież to będą te moje nowe obowiązki?

— Żadne; masz patrzeć tylko jak będę zabijał Ter-nyei'ego.

— O, z duszy!... ale gdybyś też, kochany mój panie, miał zostać pokonanym?

— Gdybym miał zginąć, wówczas pochowasz mnie. Wiesz gdzie mam pieniądze, odniósłbyś je owej biednej dziewczynie, która... dawniej była u mnie kilkakrotnie. Przypominasz ją sobie? Bettina. Jej zanieśiesz moje pieniądze. Meble zaś moje i suknie, do ciebie niechaj należą; zasłużyłeś na nie, byłeś zawsze dobrym chłopcem i wiernym sługą. Ale prawda, pochowaj mnie tak, aby nikt nie spostrzegł mego grobu, bo śmierć moja musi pozostać tajemnicą. Ludzie będą sądzić, że zholaty, złamany, odjechał

złąd i lepiej, aby tak sądzono. Prócz mego mordercy, ty jeden będziesz wiedział tylko, że nie poszedł w świat szukać szczęścia, lecz że już w domu... w grobie. Potem, mój Janie, od czasu do czasu, przyjdiesz na grób mój, a może na nim i zapłaczesz... co?... tylko znów nie bądź dziecinny? Przecież nie mówiłem, że masz już teraz zacząć płakać. Nie płacz, pocziwy chłopcze. Toż to wszystko było sobie ot baśnią tylko... ja nie będę tym, na którego padnie los śmierci w jutrzejszym pojedynku. Ani mi na myśl nie przychodzi umierać. Wierzę w Przedwieczną Sprawiedliwość, a Ta domaga się śmierci Ternyei'ego, nie zaś mojej, — znieważonego, tak straszliwie znieważonego.

Przyszedłszy do domu. Położyłem się. Janowi poleciłem, by mnie obudził, gdybym się sam nie miał zbudzić przed piątą. Wkrótce potem zasnąłem. Uderzenie zegara o północy zbudziło mnie ze snu. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się do koła. Świeca dopalała się na stole, Jan siedząc w moim fotelu, zasnął; oczy miał zamknięte, ale przy słabym świetle drgającej świecy, łzy błyszczały na jego rzesach. Biedny, pocziwy chłopak zasnął płacząc, a pewnie mnie tak oplakiwał.

— Może to zawcześnie jeszcze, panie! mówił mój służący, gdyśmy nad ranem udawali się w drogę.

— Nim zajdziemy, wyjdzie już słońce, odpowiedziałem i wyruszyliśmy.

— Panie, zapomniałem drzwi zamknąć, zawołał Jan i pędem puścił się ku domowi z powrotem.

— Nie to dobrego nie wróży, mówił doganiając mnie u bramy.

— Co? spytałem.

— Żeśmy drzwi zostawili otworem.

— A więc ty jesteś przesądnym. Janie?... ależ, jeżeli chcielibyśmy takie rzeczy tłómaczyć, to ja właśnie uważałbym ten przypadek za dobrą wróżbę. Patrz, drzwi pozostały otwarte... znak to, że istotnie tu powrócimy.

— Ha, może być, daj to Boże.

Tłómaczenie moje uspokoiło go bardzo.

Ulice były jeszcze puste i cisza zalegała je zupełnie, od czasu do czasu tylko rozlegało się pianie kogutów i zdala dolatywał śpiew kilku mężczyzn, co snąc pijani opuszczali winiarnię. Szybkiemi krokami, o ile to się udawało po grubej warstwie śniegu, co spadł nocą, brnęliśmy wciąż naprzód. Wreszcie wyszliśmy z miasta. Biała równina rozścielała się przed nami niby olbrzymi stół śnieżnym obrusem nakryty, na nim talerz.. talerz kruków... szubienica.

Niezdługo ujrzeliśmy dwie zbliżające się postacie. Przyszedł jednakże, pomyślałem. W kilka minut Ternyei wraz ze swym sekundantem stali już przed nami.

Na wschodnim skraju nieba, po przez śnieg, biegła różowa wstęga, nadchodzącego dnia zwiastunka, Niebo było purpurowe, rzekłbyś, sztylet pchnięto w jego serce i krew strugą ciekła z rany. Zwolna rozsuwała się purpura, bladła.. wchodziło słońce, on lekarz, co krew ran takich tamuje.

W milczeniu zbliżyliśmy się do siebie. Ternyei wyciągnął ku mnie dwie szable do wyboru. Ręka jego drżała. Spojrzałem nań z pogardliwym uśmiechem; zdawało się, że dostrzegł tego uśmiechu, bo wymówił:

— Tak dziś chłodno.

— Ale, sędzę, idąc z miasta aż tutaj łatwo się zagrzać można, odpowiedziałem.

Zdawało się, że chciał na te słowa zarumienić się, ale krew zdala snąć była od twarzy.

— Wybieraj! mówił, wciąż ku mnie wyciągając szable.

— Niepotrzeba mi żadnej, odparłem.

— A więc się nie bijemy? spytał i martwa twarz jego poczęła się ożywiać.

— Owszem.

— Cóż więc?

— Bijemy się w każdym razie; ale skoro tobie, jako wyzwanemu, przysługuje prawo wybrania szabel, mnie wolno...

— Jakto? co ci wolno? wybąknął.

— Wolno mi silniejszej użyć w walce broni, odrzekłem.

— A ta broń?

— Czyż i tego nie wiesz? Pistolety...

— Tak? Ja nie mam z sobą pistoletów.

— Ale ja je zabrałem.

— Ależ ja nie umiem strzelać...

— Dystans będzie bardzo niewielki.

— Ah, westchnął, widzę żeś postanowił sobie koniecznie mnie zabić. Rób, co chcesz, Na wszystko gotów jestem. Cóż mam robić?

Wyjąłem z kieszeni dwa pistolety i wyciągnąłem ku niemu.

— Wybieraj.

Pochwycił najprzód za jeden, potem za drugi; nareszcie odwrócił głowę i wziął z nich jeden.

— Jakaż odległość? spytał.

— Żadna, ot tak stanem obok siebie, odparłem.

— Jakto? obok siebie?

— A tak.

— Jakimże sposobem?

— Ot, po prostu, każdy z nas lufę pistoletu wymierzy w serce przeciwnika, dotknie nią jego piersi.

— Więc obaj padniemy trupem.

— Jeden z pistoletów tylko jest nabitym.

— A drugi?

— W drugim niema naboju.

— Mamże temu wierzyć?

— Mniejsza o to, czy będziesz temu wierzył lub nie.

— O, bo ty dość już masz życia, sprzykrzyło ci się i mnie chcesz z sobą pociągnąć...

— Nie rozprawiaj. Stań tu lepiej.

— W Imię Boga; już stoję.

— Bliżej, bliżej...

— Jeszcze bliżej? no... Tak!

Staliśmy naprzeciw siebie oko w oko. Otwór lufy mego pistoletu dotykał jego piersi, on swoją broń oparł na mojej.

— Janie, ozwałem się do mego sługi, licząc do trzech. Skoro wymówisz: trzy, strzelamy.

Teraz ei konwulsyjnie zacisnął zęby i zamknął oczy. Ręka tak mu drżała, że omal nie wypadł z niej pistolet.

Jan począł liczyć:

— Raz... — dwa... — trzy!...

Rozległ się huk jednego z pistoletów, trzask drugiego.

Śnieg zarumienił się krwią... moją.

VIII.

Kula Ternyei'ego strzaskała mi tylko żebro i zdarła z lewej ręki trochę skóry i ciała. Czemuż ten nędznik drżał! Czemuż nie trafił mnie w serce!... skoro jego wzięło szczęście w opiekę, skorom go nie mógł zabić.

Długo musiałem leżeć na moją ranę.

Lekarz zalecił mi jak największy spokój; dla tego też powiedziałem memu służącemu, aby pod żadnym warunkiem nikogo do mnie nie dopuszczał, tem więcej też, że honor nakazywał mi zachowanie tajemnicy pojedynku.

Raz, późnym już wieczorem, wszedł do mego pokoju Jan z wiadomością, że ktoś chciał się ze mną widzieć koniecznie.

— Wiesz, com ci przykazał, odpowiedziałem mu.

— To prawda, panie, ale ta osoba gwałtem chce tu wejść, ledwiem ją zdołał powstrzymać.

— Któż to taki?

Nie mogę poznać, panie, bo ma na twarzy gęsty woal.

— Woal? a więc to kobieta?

— Tak, panie.

— Kobieta? hm, niezawodnie Bettina... Wpuść biedaczkę, a sam pozostań w przedpokoju.

Wyszedł Jan. Za chwilę weszła kobieta. Nagle podniosła welon.

Nie była to Bettina...

Była to Róża.

Z gorzkim łkaniem przypadła do mojej piersi.

— Jakiś ty blady, Macieju, mówiła, podnosząc głowę i poglądając w twarz moją wymownemi swemi oczyma. Jaka twarz twoja blada...

— A twoja, Różo!

— O, ja wycierpiałam wiele, nieskończenie wiele.

— I ja także, i ja, Różo.

— Z twojej przyczyny, Macieju...

— A więc każde z nas, z przyczyny drugiego cierpiało...

— Ale ja to nie mówię jako zarzut, dodała takim serdecznym głosem, że gdybym go dziś jeszcze mógł dosłyszeć, pewien jestem, pierzchyłby wszystkie gorzkie wspomnienia siedmdziesięcioletniego mego żywota.

— Dla nas, mówiła, siadając na brzegu łóżka, dla nas, minął już czas wymówek, bo... ale, co tobie, Macieju, rękę masz obwiązaną?... a ja tak silnie na niej opierałam się przed chwilą...

— To nic, niewielka ranka.... Chętnie pragnąłbym mieć ją całą wieczność, byle na niej spoczywał ten sam ciężar, który dźwigała przedtem.

— Wierzę ci, Macieju, ale my się dziś widzimy po raz ostatni...

— Po raz ostatni? Teraz dopiero boleć mnie poczynają rany!

— Co tobie? powiedz mi co tobie?... Milczysz? czemuż nie chcesz mi zaufać, powiedzieć? Jesteś niebezpiecznie chory, nieprawdaż? nie lękaj się, bym cię z tego powodu opuściła.

— Tobie powiem to, Rózo, przed tobą nie chcę kłamać... miałem pojedynek.

— Pojedynek? Na Boga! o co?

— Tyś była jego przyczyną, Rózo.

— Ja? O mój Boże! I z kimże to?

— Z kimże innym byłbym się strzelał o ciebie, jeśli nie z Ternyei'im!

— Ha! z moim mężem! krzyknęła Róza.

— Mę... mę... — nie byłem w stanie wymówić tego wyrazu. Z twoim mężem, idź ztąd, idź, Rózo; tyś nie kochała mnie nigdy!

— Ja ciebie nie kochałam!... on mówi, że ja go nie kochałam!

— Jak mogłaś oddać twoją rękę śmiertelnemu memu wrogowi, temu, co mnie zabił moralnie?

— Skoro liść z drzewa opadnie, wówczas wszystko mu już jedno, w którą wicher rzuci go stronę. Spełniłam wolę rodziców i... chciałam pomścić się... na tobie... Zemściłam się... ale na sobie samej... Żałuj mnie, ale mnie nie potępiaj!... nie mówmy już jednak o tem, Macieju. Po raz ostatni w życiu jesteśmy dziś z sobą! czy ty czujesz całą okropność tego słowa? czy czujesz to tak, jak ja czuję? być po raz ostatni z tym, którego kochamy! Ja oszaleję, zanim... o! — Pociesz mnie, mój przyjacielu, mój ukochany, drogi; powiedz mi z całą szczerością... ale nie, jeśli to nie jest prawdą, jeśli musiałbyś skła-

mać, powiedz mi tylko, że mnie kochasz więcej, albo przynajmniej tyle, co ową dziewczynę...

— O moja Rózo, więc dlatego tylko raz jeszcze przyszedłeś do mnie, aby mnie męczyć? To okrucieństwo!

— Nie, mój kochany, ja cię nie chciałam obrażać. Przebacz mi! Ale dla mego spokoju... dlatego; bym mogła umrzeć spokojną, szczęśliwą... skoro już muszę umierać; powiedz, że mnie kochałeś...

— Kochałem i kocham cię, moja Rózo!.. jak cię kocham, tego nie umiem wypowiedzieć, ale świadkiem mojej wielkiej dla ciebie miłości, jest ta kość strzaskana. Powiedz, jak mam ci dowieść, że jesteś jedyną, którą w życiu kochałem, i jedyną niemiłownie, jaką kiedykolwiek kochać będę.

— Dzięki ci, Macieju, dzięki ci! O, tylem się nie spodziewała, tylem nie śmiała się spodziewać. Gdybym była to wiedziała wówczas, gdybym była tego pewną; teraz... ale teraz na wszelkie „gdyby”, jest już zapóźno.

Zmęczona; opuściła w dół głowę, jej czoły bezwiednie spoczęły na mojej ręce, na której połyskał jej zaręczynowy pierścionek:

— Ha! zawołała radośnie, ten pierścionek pozostał na twym palcu.

— I pozostanie aż do śmierci, ukochana moja, wymówiłem.

— Dotrzymaj tego, drogi mój, dotrzymaj! Patrz! i twój jest tu do dziś dnia i zabiorę go z sobą tam, gdzie już niezadługo znajdę: do grobu. O, ten pierścionek będzie mi gwiazdą wpośród ciemnej nocy

pod ziemią. Jak ty sądzisz, ukochany, czy duch nasz przeżyje ciało? Przed godziną jeszcze pragnęłam śmierci, nicości; ale teraz, odkąd wiem, że mnie kochasz, pragnę, by i po śmierci było życie. Mniej mnie obchodzi, czy się dostanę do nieba, do owej szczęścia krainy, byłem w ziemi, w tej chłodnej ziemi, miała tylko samowiedzę... i tam już wiekuiście szczęśliwą będę tą myślą, że ty mnie kochasz!

Tak rozmawialiśmy z sobą długo, długo... co ja mówię? W chwili takiego szczęścia, byłoby całe stulecie długą czasu przestrzenią?

O, mój Boże, jakże to już dawno, jak daleko po za mną leży ów wieczór. Czterdzieści ośm lat oddziela mnie od niego, czterdzieści ośm lat! A od owego czasu nie miałem już ni jednej szczęśliwej godziny. Ale dusza moja często, bardzo często siada w łódź wspomnienia i po przez szeroki strumień lat dąży do tego wieczora, do tego utraconego raj! A liście z drzewa ubiegłego szczęścia mego, które z sobą przynosi, na chwilę znów okrywają zielenią smutne starca czoło, tę skalę nagą a twardą, o którą roztrzaskają się wzburzonego morza fale.

Nie wiem już co przypomniało wreszcie Róży, że musi mnie opuścić.

— Czas już, abym odeszła, wymówiła, czas, bym cię opuściła, Macieju, a więc... ah, lękam się wymówić słowo pożegnania; lękam się, by mi serce nie pękło!... choć to by mi było prawdziwem szczęściem. Gdyby mnie Bóg kochał, pewnie dozwoliłby mi umrzeć obok ciebie...

— Nie żegnaj się, drogi mój aniele, my się zobaczymy jeszcze...

— Nie zobaczymy się już, Macieju...

— Może...

— Nie, nigdy już!

— Więc chyba ty sama tego nie chcesz?

— Ja miałabym nie chcieć? ja?... ale to być nie może, chciałam cię prosić tylko, byś na mój grób przyszedł...

— Na twój grób?

— Gdy umrę... ale człowiek i wiedzieć nie może, gdzie go pochowają. Skoro jednak dowiesz się, gdzie mnie pogrzebią, proszę cię, mój ukochany, schyl się nad moją mogiłą i wymów moje imię... o, ja je posłyszę, choćbym najgłębiej leżała w ziemi, wyjdę wówczas i obejmę cię w ramiona, jeśli się mnie nie ulęknieš... bo może nie będę wtedy tak piękną, jak byłam niegdyś; ale niemniej cię kochać będę, jak dzisiaj kocham!

Gorączkowo przycisnęła mnie do serca i uścisnęła tak, jakby pragnęła własną duszę oddać mi w tym uścisku.

— Nagle wyrwała się z moich objęć i wybiegła.

Długo nie mogłem zasnąć aż do rana. Płakałem... łkałem... wyrzekałem... szalałem.

Nad ranem dopiero usnąłem.

Miałem sen bardzo piękny.

W śnie tym, stałem nad brzegiem rzeki i pogłędałem w jej kryształowe fale, niosące konającego łabędzia... łabędź śpiewał swą pieśń przedśmiertną, a ja jej słuchałem z zachwytem.

Następnego dnia przyniesiono mi najświeższą z miasta nowinę: Róża skoczyła w nurty rzeki — znaleziono ją utopioną.

IX.

Skoro wyzdrowiałem, pierwszą moją myślą było odszukać matkę mego syna.

— Ożenię się z Bettiną, mówiłem sobie, ożenię przez miłość dla mego dziecka. Nie ożeniłbym się nigdy, ale winien jestem dać synowi memu nazwisko. A potem, my z Bettiną będziemy żyć bardzo przykładnie, nie jak para zakochanych, ale jak zgodni sąsiedzi... nie jak dwie gwiazdy, co na niebie wzajem sobie przyświecają i ogrzewają się wzajem, ale jak dwa pagórki, które strzegą od wichrów losu wzrastającą wpośrodku nich młodą płonkę. A jeśli czasem wpośród martwej lawy co mi spowila serce, ten krater wygasłego wulkanu, zazieleni się świeża znów trawa... o, nigdy! nigdy! bo do tego potrzeba całych stuleci.

Poszedłem do Bettiny. W pokoju zastałem starą kobietę, jej matkę; kołysała maleńkie dziecko, mego syna. Zbliżyłem się do niego; oczki miał na wpół zamknięte: spał. Pochyliłem się nad nim i ucałowałem jego czoło; widocznie usta moje były równie zimne jak serce, bo przy ich dotknięciu, chłopczyna krzyknął nagle i zbudził się ze snu.

— Gdzie Bettina? spytałem starej.

— Od kilku dni już jej tu niema, odpowiedziała.

— A gdzież jest?

— Na cmentarzu.

X.

— Panie Andorlaki, wymówiła matka Bettiny smutnym, drżącym głosem, panie Andorlaki, nieszlachetnie obszedłeś się pan z moją córką.

— Wyłajcie mnie, pocziwa kobieto, odpowiedziałem, wyłajcie, jak na to zasłużyłem! Wystucham wszystkiego cierpliwie.

— Nieszczęśliwa moja córka! ciągnęła dalej, ocierając łzę niepierwszą wylaną tych dni widocznie. Moja nieszczęśliwa córka! wiedziała dobrze, że nigdy pańską żoną nie będzie, a mimo to przecież, nie pytała, o to, czem będzie jej przyszłość. Jakże często ostrzegałam ją: „Moja córko, unikaj pana Andorlaki, bo zobaczysz, że on cię oszuka...” „Cóż mnie to obchodzi, odpowiadała biedaczka, kiedy i wówczas nawet nie przestałabym go kochać!...” „Ależ ten wstyd, hańba, niesława!” „Czyż ten, co zdoła myśleć o niesławie, kocha istotnie? Czyliż dla człowieka, któregośmy ukochali, nie możemy znieść tego wszystkiego?...” Tak myślała moja córka, panie Andorlaki.

— Szlachetna dziewczyna!

— Tak, szlachetna dziewczyna! a pan przecież tak nieszlachetnie z nią postąpiłeś! Jak mówiłam już, nie liczyła ona na to, byś się z nią pan ożenił, ale miała nadzieję, że czasami, choćby jak najrzadziej, zajrzysz pan do naszego mieszkania, jeśli nie przez miłość, to z litości dla niej przynajmniej. Miała nadzieję, że choć od czasu do czasu, zobaczy cię,

panie, obejmie uściskiem twe kolana i powie ci: odtrąć mnie nogą, ja tę nogę, co mnie odtrąci, jeszcze całować będę!.. Tego spodziewała się moja córka; ale, jak pan ją zwiodłeś, tak zwiodła ją biedaczkę i nadzieja. Nie zbliżyłeś się już do niej, panie, unikałeś nawet sposobności, coby ci wieść jaką o mej biednej córce przyniosła. Gdy jej dziecinę wynoszono od chrztu z kościoła, ty, panie, wchodziłeś tam z weselnym orszakiem, — narzeczony pięknej pani. Bóg nie dopuścił, byś został jej mężem. Córka moja dowiedziała się o tem, co zaszło i cieszyła się tem. O, nie była to radość zawiści, bynajmniej; nie zazdrościła ona owej pani jej szczęścia: cieszyła się po prostu tylko, że nieżonaty, będziesz pan mógł swobodniej zająć się losem swego dziecka. Oddawna już zrzekła się nadziei, byś pan do niej dawnem uczuciem powrócił — wierzyła zawsze jeszcze tylko, że przyjdiesz pan do dziecka, by z ust twych usłyszał nazwę „syna”. Biedna, nie doczekała się tej chwili. Cierpiała długie tygodnie, które jej się zdawały latami, wreszcie, dzięki niebu, skończyły się jej męczarnie. Jakże nędznem jest moje życie!.. ona była jedyną na ziemi, którą zwałam: mojem dzieckiem — i przy śmierci tej jedynej, którą łączył nierozzerwalny węzeł z mem sercem, co jedna tylko na szerokim świecie mnie kochała, muszę powiedzieć: dzięki niechaj będą niebu!

Kobieta załkała boleśnie. Tak byłem wzruszony, że omal wraz z nią nie wybuchnąłem płaczem; ale źródło łez mych wyschło owej nocy, gdy we śnie ujrzałem płynącego falą wód łabędzia.

— Biedna Bettino, westchnąłem, los był ci wrogiem.

— Los? przerwała kobieta. Los? ale prawda, wszakże to zwyczaj, że na los składamy nasze własne winy.

— Mnie wolno los obwiniać, bo byłbym naprawił wszystko, co złego wynikło z mej winy.

— Pan byłbyś naprawił wszystko? spytała babka mego dziecka z gorzkim uśmiechem powątpiewania.

— O, tak, niezawodnie, odpowiedziałem. Choroba tylko była przeszkodą, żem tak długo nie odwiedził mego dziecka, ale myślałam o niem często. Dziś po raz pierwszy opuściłem pokój i próg ten jest pierwszym, który przestąpiłem... i wiesz też pani, w jakim przyszedłem tu zamiarze?

— Przyjście pańskie istotnie mnie zdziwiło, ciekawą jestem powodu.

— Przyszedłem, by powiedzieć Bettinie, że pragnę zostać rzeczywistym ojcem jej dziecka, ojcem wobec świata i jej małżonkiem.

— A, mój panie, zwodzisz mnie jak zwodziłeś moją córkę... ale cóżby ci przyszło ztąd? czemuż miałbyś mnie teraz okłamywać? Wierzę pańskim słowom, jakkolwiek nieprawdopodobnemi się zdają. O, spełnij pan, coś teraz wyrzekł. Tem łatwiej możesz dotrzymać, że już tylko chodzi o jedną połowę przyrzeczenia. Skoro nie możesz być już mężem mego dziecka, bądźże przynajmniej memu wnukowi ojcem.

— Będę, będę mu ojcem. I... gdzież leży Bettina?

— W pobliżu wielkiego krzyża na lewo, tuż obok alei... czemu?

— Tak, chciałem wiedzieć...

— O, niech cię Bóg za to błogosławi, mój panie. Oddaliłem się.

XI.

— Co tu począć z tym człowiekiem... z Ternyei'm?—
wołałem często po długich rozmyślaniach, co tu począć z nim? O, Boże, daj mi jaką myśl zemsty! Czy bić się z nim raz jeszcze?... Nie powinienem ponownie stawiać życia mego na kartę, bom poprzyśiągł być memu synowi opiekunem, ojcem. Ale i bez tego nie biłbym się już nigdy w życiu... bom doświadczył, jaka to sprawiedliwość rządzi w tej walce obrażonego z obrażającym. Bo i cóż przyszło by mi z tego, gdybym zabił Ternyei'ego? Śmierć, to nie zemsta. Toż najczęściej czynimy łaskę, odbierając komuś życie. Ternyei musi żyć nędznie?... Ale pytacie, jak mam go zrobić tym nędzarzem, tym najbiedniejszym, najnieszczęśliwszym pod słońcem?... I daremnie wysilałem rozum, daremnie łamałem sobie głowę; nie mogę znaleźć tego sposobu. Zaczekam. Czas wiele, wiele już z sobą przyniósł, może i tę sposobność przyniesie. Czekajmyż więc. Tem uspakajałem rozkołysane me żądze.

Zrzekłem się niewielkiego urzędu, który dawał mi utrzymanie, bom do niczego nie był zdolny. Miałem trochę pieniędzy, które starczyć mogły na przeciąg kilku lat na wychowanie mego dziecka.

— To jest wszystko, co posiadam, mówiłem, oddając je matce Bettiny, proszę, użyjcie tego na wychowanie mego dziecka.

— Wszystko, co posiadasz? a z czegoż sam żyć będziesz?

— Nie wiem.

— Jakież pan masz zamiary, czem się zajmiesz?

— Nie wiem.

— A przyszłość pańska?

— Nie pytaj mnie, matko, odparłem, bo ja nic nie wiem. Zatrzymaj te pieniądze i gospodarz niemi jak będziesz mogła, bo nie wiem, kiedy będę znów mógł coś wam przysłać. Ale bądźcie pewni, że niezapomnę o moim synu, skoro się grosza dorobię.

— Zatrzymajże pan przynajmniej jakąś część dla siebie, nagiła pocziwa kobieta.

— Zatrzymałem już tyle, ile potrzeba, by na czas krótki zabezpieczyć się od głodowej śmierci. Więcej mi nie potrzeba. Bóg mi już dopomoże. Bywajcie zdrowi, matko, ja odchodzę, bo tu pozostać nie mogę; odchodzę, daleko może, ale bądź co bądź, powrócę tu z pewnością. Bóg z tobą, mój synku... ah, nie wiem nawet jakie ma imię? Jakież? Nie wiem, czy modlić się będę; ale gdybym miał kiedy się modlić, pragnąłbym jego imię przyłączyć do mego pacierza!

— Córką moją chciała mu dać imię pana, ale ja nie pozwoliłam...

— I słusznie, bo może z mem imieniem odziedziczyłby moje nieszczęście...

— Nosi imię Alberta, na pamiątkę dziada.

— Bela Andorlaki. Bóg z wami.

Od syna powróciłem do domu.

— Janie, zawołałem mego służącego, com ci przyrzekł przed pojedyńkiem, suknie moje i sprzęty, od-

daję tobie. Z pierwszych zabiorę tylko, co nieodro-
wnie potrzebne.

— Zabierzesz pan?

— Tak, zabiorę z sobą.

— Ale dokądże?

— Bóg to wie!

— Pan żartuje.

— Jakto, czyż już tak dawno umarła moja narze-
czona, czy też kochałem ją tak mało, by już móżdż
żartować?...

— Nie, to nie sposób, byś pan na seryo to mówił,
przerwał mój służący.

— Czemuż nie miałbym tego zrobić?

— Bo... bo... gdzieżby pan mógł wyjechać?

— Sam nie wiem, jak ci już mówiłem, ale odcho-
dzę ztąd. Po raz ostatni dziś się widzimy, Janie.
Niech ci Bóg da dobrego pana, bo zasługujesz na to.

— Tak dobrego, jak pan, nie będę już miał nigdy.

— Nie bądźże dzieckiem. Podaj mi rękę, niech ją
uścisknę. Bądź zdrow!

Pochwycił moją rękę i ucałował ją ze łzami. Usze-
dłem już spory kawałek ulicą, gdy przypadkiem
obejrzawszy się, spostrzegł go idącego za mną zda-
leka. Stałem, by poczekać na niego. Z bojaźliwą
jakąś radością zbliżył się ku mnie, jak pies obity
przez właściciela.

— No, czegoś chcesz, Janie? spytałem go.

— Chciałem odprowadzić pana kawałek. Czy mi
pan pozwolisz, lżej mi z tem będzie.

— Nie, nie, Janie, powracaj, proszę cię...

— A więc szczęśliwej drogi życzę przynajmniej panu.

— Daremnie byś życzył mi jej, Janie. Niech ci Bóg błogosławi, pocziwy chłopcze.

— Bóg z panem, Bóg z panem!

I rozeszliśmy się, ja poszedłem naprzód, on powrócił. Na rogu ulicy obejrzałem się raz jeszcze... zdaleka powiewał swym kapeluszem.

Poszedłem na cmentarz odwiedzić grób biednej Bettiny.

— Pięknie, pogodnie zachodziło dnia tego słońce. Wiosna już się zbliżała, drzewa wypuszczały pączki, na grobach zeszłoroczna zeschła trawa wypuszczała tu i owdzie zdźbła świeże, jasnozielone. Gdym przestępował bramę cmentarną ostatnie słońca promienie oświecały właśnie mogił krzyżyki, wśród których wznosił się wielki biały krucyfiks opleciony zwojami bluszczu. U drzwi cmentarza siedziała stara żebraczka z różańcem w ręku, zresztą dokoła było pusto.

Cichemi krokami, by nie mącić tego spokoju, zwróciłem się w ową aleję prowadzącą do wielkiego, białego krzyża. Zapomniałem już był, co mi mówiła matka Bettiny, czy grób jej leży z prawej, czy lewej strony drogi, dla tego też czytałem z kolei wszystkie przydrożnych mogił napisy. Naraz, jakbym stąpił na samą krawędź bezdennej przepaści, zatrzymałem się bezwładny — i zdaje mi się, że tak samo, jak ja, stanęło mi na chwilę w piersiach serce... potem, jakby chciało wynagrodzić sobie tę chwilę ciszy, poczęło bić szybko. Wyczytane imię zatrzymało mnie, przykuło... imię Róży... mojej Róży. Upa-

dłem na twarz przed jej grobem i całowałem jej krzyż mogilny.

— A więc tu spoczywasz, droga moja, jedyna, moje szczęście! zawołałem.

Czytałem znowu jej imię — Bóg jeden wie, jak mi błogo je czytać. Krzyż gorzał, oświetlony ostatniemi, krwawemi blaskami zachodu... nagle zrobiło się ciemo dokoła... trwożnie obejrzałem się; zdało mi się, że jakaś wroga ręka ściera z przed mych oczu imię Róży z pomnika. Słońce zaszło. Górą wśród bezlistnych jeszcze, nagich drzew konarów przyświecała jasną tarczą księżycą, rzucając na ziemię snop bladoego światła.

— Znalazłem grób twój, moja Róžo, ukochana moja! zawołałem. Czy ty pamiętasz ostatnie twoje do mnie słowa? Mówiłaś, bym przyszedł na twą mogilę i pochylony zawołał cię po imieniu... że wówczas ty posłyszysz głos mój choćbyś miała najgłębiej leżeć w ziemi i wyjdiesz do mnie, bo miłość twoja silniejszą jest od śmierci. Pochyłam się teraz nad murawą twojego grobu i wymawiam twe imię, twe kochane imię, o moja Róžo, posłysz tam w otchłani grobu... i powstań z martwych... Nie przychodzisz; czyliż nie słyszysz mego głosu? a możeś już zapomniała tego, który ciebie nigdy nie będzie mógł zapomnieć? O! nie, tyś nie zapomniała — ale umarła tylko w północy godzinę rzucając łoże wiecznego spoczynku. A więc dobrze, zaczekam do północy, by cię raz jeszcze zobaczyć.

Tak skarżyłem się i na tej mogile oczekiwałem północy, wsparty o krzyż nadgrobny. Wspomnienia

wszystkich chwil z nią przeżyłych, przeciągały przed moją duszą i grały w niej arfą Eola.

Gdzież ubiegły te czasy? pytałem, szukając odpowiedzi na niebie, to na ziemi. Drzewa i krzyże w koło mnie rzucały długie ponure cienie. Krople rosy połyskiwały na ziemi w księżycowym blasku, na niebie jaśniały gwiazdy... w sercu mojem tylko nie nie świeciło, — ciemność tam była bezbrzeżna. Westchnąłem, a westchnienie to zdawało posłyszeć było można, bo dokoła tak było cicho, tak cicho, jakby świat cały nie istniał zupełnie. W dali tylko, w ledwie dosłyszalnej dali, dźwięczał flet pastuszy takimi łagodnymi, smutnymi tony, że zdał mi się echem owej słyszanej we śnie łabędziej pieśni.

Tymczasem zbliżała się północ.

Zegar uderzył.

Liczyłem jego uderzenia...

Dwunasta...

Zadrżałem całym ciałem...

Przejmowało mię zimno do szpiku kości, a równocześnie występował pot kroplisty na czoło...

Przerażony obejrzałem się dokoła.

Okropne zjawisko!...

W mej wyobraźni otwarły się groby. — Wszystkie. Razem niby na skinienie różeczki czarnoksiężnika. Tylko grób, u którego siedziałem, grób Róży nie rozwarł się. Z głębin grobowych wystąpili umarli... młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni. Róży tylko wśród nich nie było. Duchy tuż obok mnie przepływały powietrzem. Zdało mi się, że słyszę szelest ich szat, klekot ich k. ści.

— Ha, zawołałem, każdy grób się otwiera, tylko nie twój, Różo!... widzę wszystkich zmarłych świata, wszystkich — prócz ciebie!... gdzież ty przebywasz? czemu nie przychodzisz, nie dotrzymujesz danego przyrzeczenia? Raz jeszcze musimy się widzieć koniecznie! Nie przychodzisz ty do mnie? nie opuszczasz twego grobu?... Dobrze więc, ja zejść do ciebie!

Szalona myśl płomieniem zajęła mi mózg.

Pobiegłem do chaty grabarza, stojącej niedaleko cmentarnego muru. Zapukałem do jej okna.

— Kto tam? spytano mnie z wnętrza.

— Otwórz drzwi! wołałem.

— Ale kto to?

— Otwórzże drzwi!

— Po co?

— Otwórz drzwi, jeśli nie chcesz, abym ci dom podpalił, a ciebie zamordował! Otwieraj!

— Rozbójnicy... Mordercy... krzyczał grabarz.

— Cicho, nie krzycz... nie jestem rozbójnikiem... wyjdź, a zobaczysz, że nim nie jestem. Wyjdź, mój kochany, proszę cię, zaklinam, miej litość!

Snać głos mój błagalny wzruszył grabarza, bo wyszedł.

— Któż to? spytał otwierając drzwi. Czegóż chcesz tak późną nocą? Czego żądasz odemnie?

— Czego żądam?... co to było? a tak, daj mi rydel i łopatę...

— Do czego?

— Nie pytaj, dawaj tylko. Jeśli nie dasz, zastrzelę cię, mam z sobą nabity pistolet.

— Więc jesteś rozbójnikiem?...

— Nie, nieprawda, nie jestem rozbójnikiem, nie mam pistoletu, chciałem cię zastraszyć tylko. Ale ja jestem szalonym, człowieku, spojrzij mi w oczy, a przekonasz się, że jestem szalonym, a szaleńcy mają siłę olbrzymią... daj mi więc rydel i łopatę!

Zobawy, czy z innej pobudki, dał mi czego żądałem.

— Dobrze, dziękuję ci. Ale czekaj, daj mi jeszcze klucz od tych drzwi.

— Klucz od mego domu? Na co?

— Żebym cię zamknął.

— A to dla czego?

— Żebyś nie mógł ztąd uciec. Daj mi ten klucz, skoro ci mówię. Tak. Teraz wejdź do siebie, żebyś mógł drzwi zamknąć. Nie lękaj się, wszystko ci odniosę. Ale przez ten czas cały zachowaj się cicho, nie próbuj uciec, bo jeśli bym posłyszał, że wołasz o pomoc, natychmiast powrócę i tym samym rydlem rozplątam ci czaszkę.

Zamknąłem drzwi za grabarzem, a sam pobiegłem na cmentarz i począłem rozkopywać grób Róży.

Kopałem, kopałem bez wytchnienia.

Pot strumieniem spływał mi z czoła.

Dokopałem się wreszcie dna grobu.

Oparłem rydel na wieku trumny...

Księżyc stał teraz wysoko i oświecał przedmioty słonecznym niemal blaskiem.

Otwarłem wieko trumny... snop księżycowych promieni, oblał twarz Róży... zobaczyłem ją... i... z okrzykiem bezbrzeżnej boleści, padłem omdlały na zwłoki zmarłej.

Nie wiem jak długo trwał ten stan omdlenia.

Gdym przyszedł do siebie, natychmiast zamknąłem trumnę. Nie miałem odwagi raz jeszcze popatrzeć w twarz Róży; ta twarz niegdyś tak przecudnie piękna, jakże okropnie była zmienioną; w miejsce owego czoła tak białego, jak piana wodospadu, owych lic tak przezroczych, jak listek róży, owych ust z rubinu... cóż zobaczyłem... ol...

Ale kilka dni pobytu u ryb rzecznych, kilka tygodni sąsiedztwa z robactwem ziemi... to i koniec wszelkiej ziemskiej piękności!

Wyszedłem z grobu i zasypałem go na nowo. Za każdym uderzeniem grudy ziemi o wieko trumny, zdało mi się, że młot jakiś olbrzymi rozbija mi piersi. Pogoda zmieniła się nagle. Zawył wicher jakiś dziki, pędząc z sobą czarne obłoki, niby gniewny kupiec, co pędzi przed sobą czarnych niewolników.

Gdym opuszczał bramę cmentarza, już na wschodzie rumieniło się niebo jutrzeńką.

Szedłem, szedłem i spory już kawał drogi oddzielał mnie od cmentarza, gdy mi na myśl przyszło, że miałem odwiedzić grób biednej Bettiny, a tym czasem, nie u jej mogiły tę noc przebyłem.

XII.

Kiedym patrzył w twarz Róży, duch mój przecierpiał całe wieki męczarni w tej jednej chwili; boleść przybiła go do krzyża, a krzyż ten otoczyły grube ciemności, jak wówczas, gdy na Golgocie krzyżowano

Bożego Syna. Duch mój skonał, ale przy życiu pozostało ciało, by w cierpieniach swoją część otrzymać.

I otrzymało ją też, przeszło przez dziesięcioletnie piekło cierpienia.

Jakież to było dziesięciolecie!

Czyście widzieli kiedy żołnierza skazanego na karę chłosty? Dni owych lat dziesięciu były dla mnie takimi dwoma szeregiemi żołnierzy; siedłem wciąż wpośród tych długich dwu rzędów, chłostany różgami nędzy. Nie miałem przytułku nigdzie: paliło mnie więc słońce lata, a zimą wystawiony byłem na najcięższe przejścia; zimą zaś i latem zarówno głód cierpiałem. Wprędce wyszły mi zebrane pieniądze, a nie mogłem, nie chciałem na nowe pracować; żebrac zaś wstyd mi było. Sprzedałem porządne moje suknie, a natomiast kupiłem sobie tańsze, znoszone. Ale i te pieniądze wyszły niezadługo. Nie miałem co wziąć w usta, a przecież nie mogłem się odważyć żebrac. Z rozpaczą głodu rozejrzałem się do koła i — co za radość! Niedaleko mnie, pies obgryzał kość. Skoczyłem ku niemu... przeleżały uciekł, zostawiając mi swą zdobycz.

Ludzie nie wiedzą jaką częstokroć sprawia przyjemność móżdż polizać kość leżącą na ulicy.

Ale kość ta nie nasyciła mnie.

— Panie, zawołałem na jakiegoś przechodnia, panie!...

— Cóż? spytał.

Milczący stałem obok niego.

— Czego chcesz? spytał mnie ponownie.

— Nic, nic, panie...

— Na drugi raz kpij z równego sobie, łotrze! oburknął gniewny i odszedł.

A, niemożliwem było dla mnie wymówić prośbę o jałmużnę.

Nakoniec zdecydowałem się. Poszedłem do jakiejś restauracyi, kilka osób siedziało u zastawionych stolików. Jakiegoś młodego człowieka zającącego skromną wieczerzę, poprosiłem, by mi dał część swego posiłku.

— Ruszaj mi ztąd! zawołał pogardliwie!

— Daj, panie, choć kromkę twego chleba! błagałem.

— Precz, bezwstydnny natrętniku! krzyknął.

— Dokądże pójde teraz, myślałem. Będę żebrał u zamożnego człowieka, taki chyba jest litościwszym, niż ów młodzieniec, który może miał szczupłe zaledwie fundusze. Pod werendą restauracyi siedział wysoki, barczysty mężczyzna z twarzą zarumienioną; przed nim stała zimna pieczeń i wino; śmiał się głośno z swego psa, który skakał w około kości, trzymanej w górze ręką pana. Nie chciałem temu panu przerywać zabawy, czekałem aż mnie sam spostrzeże.

— Proszę, cóż to za jakiś włóczęga? zawołał zobaczywszy mnie.

— Biedak zgłodniały, odpowiedziałem błagalnie.

— A, ty wisielcze, jak też nie wstydzisz się żebrać w tak młodym wieku? Idź precz! Zestarzej się lub oślepnij, złam wreszcie nogę albo rękę... a wówczas pewno ci dopomogę.

— Dzięki ci, panie, odpowiedziałem i oddaliłem się.

Opuściłem zupełnie miasto. Zataczałem się, ledwie byłem w stanie utrzymać się na nogach i nie dziw, głód bowiem jest straszliwym ciężarem. Wiatr dął z całej siły... gdym wychodził z miasta, zerwał mi z głowy kapelusz i poniosł go w płynącą nieopodal drogi rzekę. Zamyślony patrzałem za nim.

— Ta rzeka jest największym moim wrogiem, mówiłem sam do siebie; niedozwoliła, bym w jej nurtach skończył smutne moje życie, wyrwała mi ukochaną kobietę, a dziś pozbawia mnie nawet kapelusza. Bo była to też sama rzeka, w którą niegdyś chciałem skoczyć i w której wodach Róża śmierć znalazła. Bezlitośna rzeka! Tak samo dziś obojętnie zabrała mi kapelusz, jak wówczas zabierała kochankę.

Noc już była, gdym się zbliżył do wsi jakiegś. Niedaleko wsi, na łące dogasał ogień, prawdopodobnie pozostawiony przez pasterzy. Doszedłem do niego i ku niewymownej mojej radości spostrzegłem, że w pobliżu było pole zarosłe kartoflami. Gołemi rękami wykopałem z ziemi kilka kartofli i wrzuciłem w ognisko, ale nie mogłem doczekać aż się upieką; zbyt byłem zgłodniały; zjadłem je w pół surowe. A gdym się nasycił owemi na w pół upieczonem kartoflami, jakże mi smacznym był sen!

Nazajutrz obudziłem się późno już bardzo. Nim zaszedłem do wioski, dzwoniono na południe. O, na wsi ludzie są znacznie lepsi niż w mieście, o wiele litościwsi. W pierwszym domu, do którego wszedłem, przyjęty zostałem dobrze i ugoszczony ciepłymi potrawami, bez których już tak dawno musiałem się

obchodzić. Nakoniec odezwał się do mnie tak mój gospodarz:

— No, proszę, nie macie nawet kapelusza; więc żebyście nie potrzebowali chodzić z gołą głową, weźcie ot ten. Wprawdzie nieosobliwie on wygląda, ale zawsze lepszym jest niż żaden. Wczoraj wieczorem, gdym łowił ryby nieopodal od wsi, przyniosła go woda.

— To mój własny kapelusz, wymówiłem; wiatr zerwał mi z głowy poniósł w rzekę.

— Tym lepiej więc! odpowiedział gospodarz i oddał mi mój kapelusz.

Hm, mój kapelusz oddała mi rzeka, jak kiedyś oddała kochankę; ale z kapeluszem nie obeszła się tak Nielitościwie jak z kobietą .. nie oszpeciła go tak okropnie.

Jesień się zbliżała. Dnie, a zwłaszcza też noce, coraz to były zimniejsze, a suknie moje tak były lekkie, tak zdarte.

Przechodziłem obok straszdyła na ptaki, ustawionego pośród konopi; na kijach wisiały szczątki wieśniaczej grubej siermięgi. Zdjąłem ją i zarzuciłem sobie na plecy. Na tem samem ramieniu, do którego niegdyś przytulała się cudna Róży twarzyczka, dziś wisiał nędzny łachman żebraczy.

Tak zawsze, zawsze przychodziła mi na myśl Róża, ale myśl o niej nie sprawiła mi bynajmniej boleści; z głuchym spokojem porównywałem zawsze przeszłość z obecną chwilą.

Nadeszła zima.

Szedłem pustą drogą. Śnieg już leżał wysoko, a wciąż jeszcze padało coraz więcej; wiatr gnał mi tumany śniegu prosto w oczy. Było to iście sybirskie powietrze... a ja w podartem odzieniu, w butach, z których wychodziły palce, szedłem bez wytchnienia. Jak mogłem najlepiej owinąłem się i dążyłem naprzód. Słyszałem turkot powozu zbliżającego się ku mnie, ale nie obejrzałem się, nie podniosłem głowy, bo wichur chłostał mi twarz drobnymi igiełkami śniegu, za każdym podniesieniem. Gdy się powóz zrównał ze mną, posłyszałem wymówione słowa; głos był kobiecy:

— Stangrecie, słyszycie? Stańcie no...

Woźnica zatrzymał konie.

— Podróżny! zawołał ten sam głos.

Obejrzałem się; nie byłem pewny, czy to mnie wołano.

— Dokąd to idziecie? spytała w powozie siedząca pani.

— Ot, tak, bez celu, byle naprzód, odpowiedziałem.

— Ale wiecież wy, że idąc naprzód, idziecie wprost ku śmierci?

— Jakto? spytałem.

— No, tak; bo nim dojdziecie do najbliższej oberży musicie zmarznąć, tak okropne jest powietrze, a dokoła pusto i do karczmy daleko. Zawróćcie się lepiej, jeśli was nie nie nagli.

— Prawda, że nie mam nic pilnego, odparłem.

— A więc, jak mówiłam, zawróćcie. W powozie jest jeszcze miejsce, siadajcie.

— Pani pozwalasz?

— Czemuż nie miałabym pozwolić, mój Boże!... Tu na przodzie możecie usiąść wygodnie. Tak. Teraz możemy już jechać.

Powóz ruszył.

— Jak też mogliście w taki czas okropny wychodzić z domu? spytała owa pani z serdecznym wyrzutem w głosie.

— Ja nie mam domu, odpowiedziałem.

— Nie macie domu? ciągnęła dalej, biedny człowieku!.. a tacy młodzi jeszcze jesteście!.. Jaki to ładny złoty pierścień macie na palcu, proszę!.. to obrączka, jak widzę!..

Szybko ukryłem rękę, na której pozostał dotąd zaręczynowy pierścionek Róży.

— Czemuż chowacie go? ciągnęła nieznajoma pani, przecież go nie ukradliście, bo rzeczy kradzionej niema się odwagi włożyć na palec. Proszę, suknie tak nędzne i ten pierścień złoty! odpowiedzcież wasze dzieje, taka ich jestem ciekawa!..

— Jeśli pod tym tylko warunkiem zabieraś mnie, szanowni pani, do swego powozu, to wolę z niego wysiąść!

— O, tego przecież nie mówię. Zostańcie w powozie, choćbyście nie chcieli mi opowiedzieć!.. jakkolwiek moja ciekawość jest ogromnie zaostrzoną. Ale ja nie jestem panią, jestem panną, nie tytułujcież mnie więc tak poważnie.

— Panną? spytałem obojętnie.

Teraz dopiero spojrzałem jej w oczy. Była młodą i piękną. Począłem domyślać się, jakiego to rodzaju była panna.

— Tak, w istocie, jestem dziewczyną, ciągnęła dalej. Powinnam już była być dziś mężatką, ale kochanek mój oszukał mnie, opuścił. Teraz mogę sobie według upodobania wybierać kochanków. To też wybieram ich. Prawda, że dziś nie tak szczęśliwa, jak wówczas, gdym kochała jednego. Ale człowiek pociesza się jak może. Dziś kocham, tylko by zagłuszyć ból. Czasami jednak ból przemaga, zwycięża mnie, łamie, — wówczas płaczę. Nigdy w życiu, nie byłabym pomyślała o dzisiejszym życiu, nigdy nie byłabym spojrzała na innych mężczyzn, gdyby tamten, ten pierwszy jedyny, nie był mnie porzucił; ale, on był nikczemnikiem... Ah, on nie wart był, bym tak go opłakiwała. Dziś, gdybym mogła napotkać człowieka, coby mnie kochał prawdziwie, może mogłabym zejść z tej smutnej drogi, na jaką on mnie popchnął i znowu kochać tak, jak niegdyś kochałam. Może i nie słuchacie tego, co wam mówię?... mniejsza z tem; nie po to mówiła, by mnie słuchano. Lżej mi tylko na sercu; gdy o tem mówić mogę. A potem ten pierścień naprowadził mnie na takie myśli. Przyznajcie, że wam go dała dziewczyna... nieprawdaż?

— Rzeczywiście, dziewczyna, odpowiedziałem, skoro tak już koniecznie chcesz pani wiedzieć.

— Więc macie kochankę!

— Ja! kochankę? taki człowiek kochankę!

— A czemużby nie? czy dla tego, żeście biedni? alboż miłość się na to ogląda?... no, przyznajcie się, że macie kochankę...

— Nie...

— A więc mieliście?

— Tak.

— Może stała się wam niewierna?

— Nie!

— Umarła?

— Tak.

— Biedny, biedny!... Założyłabym się, że dlatego dziś taki nieszczęśliwy: zaniedbał się tak w swej boleści. Czemuż ten, którego ja kochałam, nie był takim? Ah, wyobrażam sobie, jak bardzo kochałeś owo dziewczę, skoro w takiej nędzy nie sprzedałeś tego pierścienia!... Niejednokrotnie już przyszła wam na myśl jego wartość, wiem o tem. Ah, jak to pięknie z waszej strony.

Gdy tak mówiła moja towarzyszka podróży, przybyliśmy do miasta, które opuściłem. Były tam dwa hotele, kazała się zawieźć do bardziej eleganckiego.

Wysiadłem, podziękowałem za jej dobroć i chciałem się oddalić.

— Gdzież tak spieszycie? spytała mnie.

— Znajdę sobie gdzieniebądź pomieszczenie na noc, odpowiedziałem.

— Zaczekajcie chwilkę. Mnie się nie pozbędziecie tak prędko.

— Czego sobie pani życzysz?

— Żebyście się trochę rozgrzali w moim pokoju, bo wasz ubiór nie jest pewnie dość ciepłym, byście nie pomarзли w drodze... ale niech was nie obrażają moje słowa.

Kazała sobie dać pokój, napalić w nim i wprowadziła mnie do niego. Mówiła o najróżnorodniejszych rzeczach; ja milczałem i grzałem się u ognia. Dawno już nie byłem w ciepłym pokoju. Opowiadała, że jej o'ciec jest krawcem, że i matka żyje jeszcze, ale nie wiedzą o miejscu jej pobytu; że na imię było jej Judyta, ale odkąd w obecne wstąpiła życie, przybrała imię Izabelli.

— Nie chcę dłużej nadużywać dobroci pani, rzekłem wreszcie, niech pani Bóg odplaci...

— Skoro już nie chcecie tu dłużej pozostać, idźcie w Imię Boże; ale może nie macie się czem posilić przed nocą? albo jeśli co macie, to lepiej będzie schować to na jutrzejsze śniadanie... proszę, weźcie tę drobnostkę...

Podawała mi dukata.

Nie chciałem go przyjąć.

— Ależ weźcie, zróbcie mi tę łaskę. Weźcie, jeśli mi prosić o to wolno. Mnie Bóg da jeszcze niejednego taki dukat. Widzicie, ja też już niejednemu biednemu dopomogłam. Nie możesz sobie wyobrazić, jaką mi to sprawia wielką przyjemność, gdy mogę dopomóc biednemu. A potem, ty właśnie szczególnie zasługujesz na wsparcie, boś umiał takim stałym pozostać w miłości!

Pocziwa dziewczyna wcisnęła mi w rękę dukata, a z jej oka łza stoczyła się po pięknej twarzy... podziękowałem za dar spojrzeniem i oddaliłem się.

XIII.

Rok po roku mnie opuszczał, nie opuszczała mnie tylko nędza. W początkach tej mojej tułaczki lękałem się umrzeć z głodu... umrzeć niepomszczonym. Tego lękałem się w śmierci, — nie jej mąk. Nakoniec doszedłem do przekonania, że człowiek z głodu nie umiera i myśl ta była mi uspokojeniem w mej nędzy. Tak, im głębiej zanurzałem się w błocie niedostatku, tem więcej byłem zadowolony, bo tem bujniej rozrastało się w mej duszy pragnienie, nadzieja zemsty. Czasami myślałem o moim synu... i ta myśl jedynie wyprowadzała mnie z wiecznej mej apatii.

— Moja biedna dziecina, myślałem i wtedy westchnienie rozpierało mi piersi, ta niewielka sumka, jaką ci pozostawiłem, pewnie dawno już wyszła i dziś niezawodnie z babką nieraz przymierasz z głodu jak twój ojciec. A jeśli babka twoja umarła? cóż wówczas stało się z tobą?... możesz już szczęśliwy, bo się skończyły twe cierpienia. Syn mój przychodził mi na myśl z każdym dniem częściej, a te wspomnienia niepokoiły mnie coraz bardziej, tak, że nie było cenny, za którą niechciałbym się od nich uwolnić. I tak dopomódz mu nie mogę, czegoż się więc daremnie troskać? powtarzałem sobie w duchu. Oddałem się pijanństwu. Skorom zdobył nieco pieniędzy, wolałem znosić głód, byle tylko móc pić i trunkiem okupić sobie chwilę zapomnienia. I ja, com był tak cichy, tak skąpy w słowa i chłodny, klóciłem się i biłem, gdym był pijanym. Rozraniono mi twarz, guzami

nabito głowę i wyrzucono z szynku. Gdziem upadł tam zasypiałem; a gdym się zbudził wytrzeźwiony, i poczułem, że mam twarz wilgotną, przeklinałem tych, co jak sądziłem, we śnie oblali mnie wodą; ocierałem twarz ręką i wówczas dopiero spostrzegalem, że była pokrwawiona. Szedłem do najbliższej studni, by się obmyć, zobaczył mnie woźnica i obił swym biczem za to, że śmiałem skrwawioną moją rękę zanurzyć w korycie, z którego piły jego konie.

I piłem tak bez przerwy póki mogłem tylko, ale zwolna przestano mi już rozbijać głowę i wyrzucać z szynków, bo już mi nie szkodziło wino, nawykłem do niego, to też nie szukałem już z współpijącymi kłótni. Raz siedziałem w jakimś nędznym szynku taki milczący, ponury i lałem w siebie wino.

— Szanowny mój kolego! przemówił do mnie jakiś człowiek równego ze mną wieku, który dotąd tak samo jak ja, milcząco siedział w kącie izby, i tak jak ja, był obdarty. Szanowny mój kolego, słyszałeś też ty kiedy o Kasprze Hiripi?

— Nie mam zaszczytu... odparłem.

— Żałuję, żałuję niezmiernie, bo to ja nim jestem.

— Cieszy mnie to... możnaż prosić, byście pili ze mną, rzekłem.

— Jak najchętniej... i pochwycił moją butelkę.

— A, redakuc! zawołałem, nie tak ochoczo. Nie po to mówiłem, abyś istotnie miał pić ze mną; mówiłem, bo tak każe zwyczaj!

— A moim znów zwyczajem jest, nie pogardzać serdecznem zaproszeniem...

— Niech i tak będzie. Pijmyż!

— Niech ci Bóg da zdrowie!... zawołał mój nowy towarzysz, a podnosząc butelkę, wyciągnął taki haust potężny, że niewiele się w niej pozostało. Ja wypilem resztę, uderzywszy w stół duem flaszki... gospodarz przybiegł i napełnił ją znowu.

— Czy wiesz jednakże, szanowny panie, zaczął ów jegomość który nie był przyzwyczajony do pogardzania zaproszeniami, czy wiesz pan jednakże, dla czego ja właściwie stoję przed panem?

— Przeczuję, odparłem, spojrzawszy się na swoje wino.

— Pan nie przeczuwasz tego, to było tylko małeńkie intermezzo. Przybywam tutaj, aby panu powinszować, gdyż jesteś wielkim człowiekiem, większym odemnie, którego nazwisko jest Kacper Hiripi.

— O!... pan jesteś zbyt łaskaw...

— Tylko sprawiedliwy i niemniej wyrozumiały. Tak, mój panie, zawstydzileś mnie i ja płomienie się ze wstydu.

Te słowa obudziły po raz pierwszy moją ciekawość... chętnie byłbym chciał widzieć, jak przy zarumienieniu się wyglądać mogło oblicze, które w zwykłym stanie było tak czerwone jak jego. Mówił on dalej w ten sposób:

— Tak, panie! zawstydzileś mnie, a ja zarumieniłem się; lecz natychmiast wzbudziło się we mnie to uczucie hołdu, które składam zawsze większym od moich zdolności. Tak się zwykle dzieje, że talent obudza się w poziomych duszach zawiść; w szlache-tnych zaś hołd i uznanie. Cieszy mię to, że się mogę zaliczyć do tych ostatnich...

— Wszystko to bardzo piękne, odparłem, ale dotąd nie mogę się domyślić, na czym polega moja wyższość?

— Na czym? Na tem, że pan większym odemnie mistrzem... w piciu.

— Czyż podobna?...

— Święta prawda. Umiesz pan lepiej pić niż ja, a słowo honoru daję, to już wiele powiedziane.

— Tak, panie, odrzekłem, wprawą daleko się dochodzi...

— Rozumny z pana człowiek, ziezaprzeczoną wypowiedziałeś prawdę. *Exercitium facit virum*.... Wiesz pan co to znaczy? rozumiesz po łacinie?

— Tak, trochę.

— Tak? ah... ten szynk nie zasługuje na takie szczęście. Naraz dwóch w nim uczonych! Ale los często marnotrawi na niegodnych swe dary! Panie, gdybym ja był gospodarzem tego szynku i gdyby dwóch tak uczonych ludzi dom mój nawiedziło, wierzał mi pan: opływaliby w mleku i miodzie przez cały tydzień i całkiem bezpłatnie. Ale od tutejszego gospodarza trudno będzie spodziewać się podobnych uczuć ludzkości; jak pan sądzisz?

— Tegoż samego jestem zdania, odpowiedziałem.

— Nieprawdaż? ah, smutne to czasy dla uczonych, bo u nas nie umieją jeszcze ocenić wiedzy, uszanować należycie. Jak to pięknie mówi Gvadányi: „Jak się to dzieje, że ten, którego wiedza tak jest olbrzymią, zapominanym jest przecież od świata”. Ale Gvadányi zawsze tak umie o wszystkim mówić pięknie. O, Gvadányi to mój poeta! podziwiam, kocham

go i umiem większą połowę dzieł jego na pamięć. A wiesz pan czemu polubiłem tak Gvadányi'ego, bo na pisał „Notaryusza z Peleske”, a mam honor oznajmić panu, że i ja byłem notaryuszem; ale... złożyłem mój urząd, tak, sam go złożyłem, nie myśl pan czasem, że mnie wypędzono. Wiem, że po dziś dzień oplakuje mnie moje miasteczko. Tak, to miasteczko szanowało mnie, kochało, a przecież je opuściłem i aż tu zaszedłem. Bo pochwyciła mnie większa nad wszystko miłość sztuki, dla tego to zostałem duszą trupy aktorów, to jest suflerem. Że jednak na całym szerokim świecie niema podlejszego plemienia, jak wędrowni komedyanci, rozpędziłem całą trupę i wyrzekłem się sztuki. Ale życie moje później panu opowiem... bo, jak się spodziewałem, nie tak prędko się rozstaniemy. Tu, na tem miejscu, ofiaruję panu nieniejszem, wieczystą mu przyjaźń. Dziwnie przystajemy obaj do siebie. Obaj jesteśmy ludzie uczeni, obaj mistrzowsko posiadamy szlachetne rzemiosło picia... jskkolwiek pan w tem celujesz... ale z pomocą Bożą i ja dojdę do tej doskonałości; obaj wreszcie prowadzimy wolne, niezależne życie. Zarobimy sobie obaj na przyszłość sławę, nieprawdaż? szczęśliwi przejdziemy przez życie, jak dwaj kochankowie idą cieniem szpalerem pięknego ogrodu; cóż pan na to?... ale do licha, tak dobrzy przyjaciele, a tytułujemy się dotąd! To szkaradne. Porzućmy tych panów i mówmy sobie odtąd po imieniu.... co?

— A, dla mnie niech i tak będzie! wyrzekłem wzruszając ramionami; ale nie na wiele przyda się panu... czy tam tobie moja znajomość.

— Więc ty sądzisz, zawołał gniewnie mój nowy przyjaciel, że ja dla jakiejś korzyści zawarłem z tobą przyjaźń?

I gniew swój splukał dwoma trzeciami mej butelki.

— Prawda, — mówił dalej, — że teraz piję twoje wino, ale nie lękaj się, nieraz będziesz i ty pił moje. Teraz wprawdzie bardzo ze mną krucho, bo i klezczami nie udałoby się wyciągnąć szeląga z mego worka... ale nie potrwa to dłużej jak do najbliższej wioski.

— A tam?

— Tam, mój przyjacielu, pieniędzy jest jak lodu, dla tego też, panie gospodarzu, napełń tę butelkę.

— A kto ją płaci? spytał szynkarz.

— Kto płaci? śmieszne pytanie! Napełnij no butelkę i przynoś nam prędeej.

— Chciałbym pierwaj przeciej widzieć pieniądze, mówił szynkarz.

— Mój szanowny przyjaciel, mówił Hiripi, wskazując na mnie.

— Owszem, zapłacę... tu są pieniądze.

— No, tak, to co innego. Na jego rachunek nie dałbym i naparstka wina, jak mi Bóg miły. Wczoraj już przepił u mnie wszystkie pieniądze. Ostatniej kwarty nie mógł już nawet zapłacić, dał mi na nią jakąś brudną podartą płachtę.

I szynkarz postawił przed nami świeżo napełnioną butelkę.

— Ale, mój Kasprze, powiedziałem mu, ostatnia to kwarta, bo już wydałem wszystkie pieniądze.

— Mógłbyś dostać jeszcze na ten ot pierścioneł, który masz na palcu...

— Nic nam nie dadzą na niego.

— Czemu?

— Bo on nie schodzi mi z palca.

— Sprobujmy...

— Temu damy pokój...

— Wierz mi, ja go zdejmę...

— Wierzę ci, ale się nie trudź.

— Hm, może to pamiątka od kochanki?

— Niech sobie będzie co chce.

— Dajże pokój takim głupstwom, kochany przyjacielu. Wiesz, co powiada Gvadányi: „nie ufaj nigdy koniowi i kobiecie...” a Gvadányi nie kłamie nigdy.

Skończyło się nasze wino, wstaliśmy i wyszli razem z szynku.

— To mi ptaszki, jak raz do siebie przystali! mruknął za nami gospodarz.

Powlokłem się z zwykłą moją obojętnością; za mną szedł Hiripi z czapką na bakier i śpiewką na ustach.

XIV.

Kacper Hiripi rzeczywiście nie z egoistycznych pobudek zawarł ze mną przyjaźń... jeśli nasz związek godzi się nazwać przyjaźnią; i czemużby wreszcie nie? czy dla tego, żeśmy obaj byli obdartymi włóczęgami, pijakami?

Byliśmy przyjaciółmi.

„Ja byłem mu przyjacielem, bom wiedział, że mnie oszukać nie może, bo już nic nie miałem na ziemi, cobym mógł utracić; a że on mi był przyjacielem, najlepszym tego dowodem było, że się niczego ode mnie spodziewać nie mógł, a jednak mnie nie opuszczał. Szliśmy razem z miejsca na miejsce. Ja miałem urząd wynajdywania stołu w szynku, tam czekałem, na Kacpra; on zaś tymczasem siedł do proboszcza nauczyciela i kolejną do wszystkich *honoratiores* miejscowości, wszystkich uczonych, jak mawiał. Tu zbiegał krajcary, owdzie guldeny, poczem składał je w moje ręce. Nigdy nie tytułował mnie inaczej jak — „Mój kasyerze!”

Kto to słyszał i spojrzał potem na nasze ubranie, śmiał się głośno i nie bez przyczyny.

Cośmy zebrali pieniędzy w jakiej wiosce, tego nigdy nie zabieraliśmy do drugiej. Przepijaliśmy je natychmiast, albo raczej on je przepijał, ja bowiem przypadającą na mnie część używałem na zakupienie żywności. Od chwili, gdym się przekonał, że wino nie wywierało na mnie żadnego już wpływu, przestałem pić i zwolna odzwyczaiłem się zupełnie.

Mój przyjaciel ubolewał nademną z tego powodu.

— Ah, wzdychał boleśnie — doprawdy, ty się wyrazasz! miałżebyś rzec się najszlachetniejszych żądz? obyczajów? zejść na zawsze z drogi cnoty? widzę już, że świat z każdym dniem bardziej się psuje! widzę, że wkrótce zadamy kłam Gvadányi'emu, który powiada: „Najlepszym balsamem i magnesem węgry jest małmazya, tokaj nieomylnem lekarstwem...”

Raz Hiripi wpadł bez tchu do szynku, w którym oczekiwałem rezultatu jego odwiedzin, jak zwykły był swą zebranię nazywać:

— Gospodarzu! wołał już od progu, dwadzieścia tysięcy wiader wina dla mnie, a dla tego tu mego kasyera siedm tysięcy tortów oraz tyleż bażantów i pstrągów!

— Co tobie, Kacprze? spytałem i aż musiałem rozśmiać się niemal z radości, którą twarz mu promieniała.

— Co ty się pytać będziesz? Co mi jest? to mi jest, że chyba koniec świata się zbliża. Mój kochany, ty nie pijesz wina, a wierzyście nie dopominając się, otrzymują pożyczone niegdyś pieniądze, mówię więc, czy to nie koniec świata? A skoro dziś lub jutro, kończy się już wszystko, więc nie żałujmy sobie, pijmy i jedzmy, czego dusza zapagnie. Czy widzisz to?

— Widzę.

— Powiedz więc, skoro widzisz, co to jest?

— Pieniądze.

— No, to bezwątowania, ale zgadnij ile!?

— Pięćdziesiąt guldenów.

— Zgadłeś. Nie braknie szeląga. I ty nie mdlejesz z radości?

— Nie.

— I ja nie. Ale wyobraź sobie, jakim sposobem przyszedłem do tych pieniędzy. Owych czasów jeszcze, gdy to Piotr z Amieniu prowadził krucyatę do Jerozolimy, pożyczyłem je jednemu z szkolnych mych

kolegów. Dałem mu je, ot tak, bo był biedakiem. Dziś wychodząc od proboszcza wchodzę do jakiegoś wspaniałego domu?... i kto jest panem w tym domu?... nie potrzebuję ci powiadać, sam już wiesz niezawodnie. Poznałem go, żeśmy razem byli w szkołach, ale o tem zapomniałem już od dawna, żeś był kiedy w życiu wierzyicielem i to właśnie jego wierzyicielem, ha, ha, ha!.. coś u licha, wina jeszcze dotąd nie przyniesiono... Panie gospodarzu, wina!... kasyerze, dzisiejszego dnia już niewiele, jak sądzisz, czy przez noc do jutra rana, może cały ten skarb przejść przez nasze gardło? Ze wstydu popadnę w rozpacz, jeśli nam do rana choć jeden krajcar pozostanie w kieszeni. Masz to, zabieraj. A jeśli sądzisz, że to dla nas za wiele, zwołaj cyganów i rzuć im resztę na cymbały. Trzebaż raz w życiu być wspaniałomyślnym!

— A coś to jest, spytałem, wskazując na węzełek, który wspaniałomyślny mój przyjaciel, rzucił na stół wchodząc do karczmy.

— To? hm, byłbym nieomal o tem zapomniał. To jest procent za lat tyle.

— Cóż tam jest w tej chustce?

— Porządny ubiór, kolego, w który możesz się włożyć zaraz.

— Ja? przecież i tobie się przyda...

— Prawda to, ale naprzód ty, potem ja. Bo... — to wymówił cicho, — bo któżby do licha dał mi co, gdybym w tak szanownej powłoce szedł żebrac? pomyslno-no.

Ten argument był przekonywający, przyjąłem więc suknie. Gdy mnie w nich ujrzał Hiripi, zawołał zdziwiony:

— Kolego, do ciebie pisał ten wiersz Gwadányi: „A jeśli wdzieje na siebie mundur, taki jest piękny, że śmiało mógłby posąg taki stanąć w Delfijskiej Apollina świątyni.

Doprawdy, ja sam się cieszyłem, gdym się obejrzał od góry do dołu. Blizko już lat dziesięć jak mnie nie okrywało nic prócz łachmanów. Tak mi było błogo jakoś, jak więźniowi, co opuszczając wilgotne podziemie, pierwszy raz znów ogląda zazieleniałe pola. A gdy te suknie podrą się, będę znów takim samym jak pierwaj obdartusem? Bóg jeden wie, jak gorzką ta myśl mi się wydała. Gdy człowiek raz upadnie, mniejsza o to jak głęboko, może obojętnem okiem poglądać na swój upadek, dopiero gdy raz uda mu się podnieść i obmyć z siebie błoto, wówczas poczyną się brzydzić kałużą, w której się nużał.

Hiripi z całą pilnością oddał się picciu. Nie wystarczało mu mieć przed sobą jedną butelkę. Kazał zastawić stół cały i każdy co wszedł do karczmy — szczęśliwy czy nieszczęśliwy, musiał dotrzymywać mu placu w tej zabawie.

Nie dziw więc, że prędzej niż zwykle, leżał pod ławą, ze zdwojoną bowiem siłą i zapalem, oddawał się swemu „uszlachetnionemu rzemiosłu.”

— Gra-jno, cyganie, graj mi do tańca! zawołał i snem zmorzony osunął się z ławy. Cyganów co prawda nie było i śladu w oberży.

Mnie sen nie przychodził zamknąć powiek. Wcisnąłem się w kąt jakiś, ale nie mogłem długo pozostać na jednym miejscu. Byłem czegoś niespokojny, po raz pierwszy od lat dziesięciu; sam nie wiedziałem czemu. Myślałem, ale moje myśli biegały bezładnie z miejsca na miejsce, z przedmiotu na przedmiot, bez spójni, bez związku. Wszystko, czem zajmowałem się kiedybądź w życiu: polityka, historia, poezya — wszystko to kolejno przeciągało przed moją myślą. Przeszłość i przyszłość stawiała przedemną niby zmrok wieczorny i brzask poranku; tam była ciemność, tu światło blade — jasności nigdzie.

Dziwny to był wieczór — szczególniejszy.

Nakoniec jakiś pan nieznajomy wszedł do izby gościnnej oberży. Klął i wymyślał na nędzne wioski, w których z nudy podróżnik umrzeć może.

— Lubisz pan grę w karty? spytał mnie nagle.

— Nie umiem grać nawet, odparłem.

— Chodź pan do mego pokoju, to pana nauczę, byle czas zabić.

Na te słowa, dreszcz i gorąco przebiegły mnie równocześnie, czułem coś w rodzaju febry. Gdybym tak wygrał? pomyślałem. A jeśli też stracę te kilka guldenów, które mam przy sobie? nie zapłaciliśmy nawet szynkarzowi; jeśli stracę i nie będę w stanie zapłacić... to nas wyrzucą, cóżby innego zrobić mogli?... ale nie będzież się na mnie gniewał Kacper — gniewał słusznie? żem go obdarł z pieniędzy, bo to by prawdziwie było rabunkiem... ale mniejsza z tem!

— No, idziesz pan? spytał ów podróżny.

— Jeśli pan chcesz... owszem... odpowiedziałem z udaną obojętnością, choć drżałem całym ciałem.

Gdyśmy przechodzili sienią, zapowiedział swemu stangretowi, by rano bardzo zaprzągi, a potem przyszedł go obudzić. Raniuteńko przyszedł też stangret obudzić swego pana. Ale ten całą noc się nie kładł. Graliśmy bez przerwy. Wkrótce potem wsiadł do powozu i odjechał... ale kilkaset guldenów nie odjechało z nim razem.

XV.

— Kacprze, co ci się śniło? spytałem nazajutrz mego przyjaciela, skoro się zbudził.

— Coś prześlicznego, mój drogi, coś pysznego, odpowiedział. Śniło mi się, że jestem owym angielskim królewiczem, którego imienia już nie pamiętam, ale o którym to pamiętam, że go brat rodzony kazał utopić w beczce małmazyi... ale co się tobie stało u licha, że mnie pytasz o sny? Jeszcześ nigdy mnie o nic podobnego nie pytał.

— Pytałem się dla tego tylko, aby wiedzieć czy ci się nie śniło czasem nieszczęście, które nas spotkało?

— Nieszczęście? Ja nie wiem, co to słowo znaczy, bom nigdy niczego podobnego nie doznał; dla mnie nie istnieją nieszczęścia...

— No, to dziś dowiesz się, co to jest. Bez wszelkich omówień, bez upiększeń, powiem ci po prostu:

dzisiejszej nocy grałem i wszystkie nasze pieniądze przegrałem.

— Wszystko, wszystko?

— Co do grosza.

— Aj, aj! zawołał Hiripi. Aj, aj! gdybyż ci przynajmniej zostało było z parę krajcarów na wódkę; czuję, że takby mi było miło popłukać gardło...

— A o resztę jużbyś się nie troszczył?

— Całkiem, tak jak o dzień wczorajszy!

— Ależ z ciebie doprawdy walny chłopak, Kacprze, dzielny! godzienbym cię do serca przycisnąć, do tego serca, któremu od lat dziesięciu obojętny była wszelka ludzka istota. Pozwól, że cię uściskam! Patrzaj, jam myślał, że się będziesz gniewał na mnie, a tyś brwi nawet nie zmarszczył. O, mój przyjacielu, dowiedzże się prawdy. Grałem całą noc w karty... ale nie przegrałem. Wygrałem, niezmiernie wiele wygrałem; ani nie wyobrazisz sobie, jak wiele!

— Wygrałeś? Aleś ty dotąd nie grywał nigdy w karty...

— Nigdy, bom w tem nie znajdował przyjemności.

— Kolego, to smutne, to bardzo smutne! Byłbym wolał, żebyś przegrał mi pieniądze.

— Czemu, dziwaku?

— Temu, że grałeś pierwszy raz, a wiesz ty, co Gvadányi mówi... to jest nie Gvadányi, ale co mówią gracze? *Prima fortuna raro bona...*

— Prawda. Ale nie na tem koniec przysłowia...

— *Sed si bona, valde bona!...*

— A tak!

— Hm, a ileż wygrałeś?

— Coś około tysiąca guldenów...

— Tysiąca guldenów? tyle pieniędzy niema nawet na całym świecie!

— Ja je mam przecież w kieszeni.

— Tysiąc guldenów... nie, doprawdy to sen chyba — ale sen tak niemal piękny, jak mój dzisiejszy.

— Patrzaj, weź je w rękę, dotknij, aby się przekonać, że to nie sen.

— Doprawdy, nie!... o mój przyjacielu, teraz dopiero poczynają się dla mnie smutne czasy... teraz ze dwa tygodnie przynajmniej nie będę potrzebował myśleć, co będziemy jedli i pili. Albo wiesz ty co? zakupię wszystkie wina Węgier i dam zadatek na zbiór przyszłoroczny.

— Nie, Kacprze, tych pieniędzy nie możemy wydać. Zaraz ci powiem dla czego. Mam dziecko, biedne, małe dziecko, na wyżywienie którego dotąd powinienem był łożyć; ale sam nic nie miałem; może ono dziś w największej żyje nędzy — jam go od dzie sięciu lat nie widział nawet.

— Aj, aj, ty masz dziecko! mówił Hiripi, potrząsając głową, czemużeś o tem pierwej nie powiedział? Może bylibyśmy mogli co oszczędzić dla malca; prawda, żeśmy żyli dziś porządnie, ale gdybyśmy tak jeszcze trochę porządniej żyli, możebyśmy i oszczędzili byli cokolwiek grosza... a gdzież jest to dziecko?

— Dość daleko ztąd... może ze cztery dni podróży. I dziś jeszcze muszę tam jechać, zaraz. Czy pojedziesz ze mną, Kacprze?

— Czy pojedę? Gdzie ja bym nie poszedł za tobą!

Niezaadługo potem siedzieliśmy już na wozie i dążyli co najspieszniej. W pierwszym mieście, do którego przybyliśmy, przebrałem Kacpra. Z wielką trudnością udało mi się namówić go, aby włożył na siebie zakupione przezemnie suknie, do tego przecież nie dał się nakłonić nigdy, aby pić za moje pieniądze.

— Bawić się za gotówkę, niewielka sztuka, a potem trzebaż myśleć o twojem dziecku, — odpowiadał na wszelkie namowy i wszędzie, gdzieśmy przybyli udawał się na „odwiedziny”, a wszystko co sobie zebrał w ten sposób przepijał.

Wreszcie przybyliśmy do miasta, gdzie młodość moja... Bettina,... Róża!... moje dziecko i... Ternyei... ha!... — Od dziesięciu lat tu nie byłem. Jakże przez te lat dziesięć odmłodziło miasto! jak ja się zestarzałem!

XVI.

Dom, w którym umarła Bettina i urodziło się moje dziecko, leżał w dzielnicy miasta najbardziej opuszczonej, kędy chroniło się tylko obóstwo. Odszukać go było pierwszą moją myślą. Wówczas już, gdy go zaczął odwiedzać był on rudera; teraz jednak był raczej ruiną, niż mieszkalną budowlą. Z frontu podparty był belką, która jedynie powstrzymywała go od zupełnego zawalenia się. Rysy widniały zdala na jego ścianach, a jedyne okienko, poglądające na ulicę, zaklejone było papierem.

— Straszna nędza! — pomyślałem i z bijącym sercem przestąpiłem próg sieni. Z najwyższym niepokojem uchyliłem drzwi stancyjki.

Przeraziłem się.

Matka Bettiny była ubogą, ale pokoik jej odznaczał się porządkiem. Dwa łóżka, zasłane czyściutką pościelą, kilka krzeseł skórą obitych, w pośrodku izby wielki stół orzechowy, a u okna mały stoliczek do szycia, stanowiły umeblowanie tego pokoju. Na ścianach rozwieszone były obrazy z życia biblijnego Józefa: jak go sprzedają bracia, jak w Egipcie jest ulubieńcem Faraona i t. p. — Teraz nic z tego wszystkiego nie było w tej izdebce. Stała ona zupełną pustką. Z ścian opadło wapno, piec zapadł się i gruz leżał na podłodze. Przeraziłem się, gdym drzwi otworzył i zobaczył ten obraz. Zrazu nie przyszło mi zupełnie na myśl, że mógł tu już mieszkać ktoś inny lub też i nikt, co było prawdopodobniejszem.

Wszedłem i aż lżej odetchnąłem, gdym spostrzegł po za drzwiami twarz całkiem obcą. Była to kobieta, jak się zdawało, mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Leżała na wiązce słomy, chora widocznie, prócz tego barłogu nic nie było w całej izbie; starą, bardzo zużytą suknią nakrywała się chora. W głowach stał garnek z wodą, flaszeczka z lekarstwem i miska z resztką jakiejś strawy. Przeszedłem już przez całe piekło wszelakiej nędzy, a przecież tą się przeraziłem, tak była wielką.

— Przebaczcie mi, pocziwa kobieto, że was naszedłem, myślałem, że znajdę tu dawnych mieszkańców tego pokoju... Teraz nie wiem, gdzie mam ich

szukać, skoro tu ich nie zastaję, dodałem po chwili.—
Czy dawno tu już mieszkacie?

— Od kilku tygodni, odpowiedziała kobieta z wolna, cichym głosem.

— A kto tu mieszkał przed wami?

— Nikt. Chora, uboga przyszłam do tego miasta i szukałam w niem najtańszego mieszkania; to jest najtańszem, bo nikt się nie odważa tu zamieszkać, z obawy, by się dom nie zawalił; ja się spodziewam tego, oby spełniła się ta nadzieja!

— Biedna kobieto, musisz być bardzo nieszczęśliwą. Gdybym nie widział twojej nędzy, te słowa dałyby mi jej miarę.

— O, ja jestem bardzo nieszczęśliwą, najnieszczęśliwszą w świecie. Iluż ludzi tak mówi o sobie! gdyby mogli mnie zobaczyć, nie mówiliby tego.

— Szczerze mi was żal! Macie też przynajmniej z czego żyć?

— Byłabym dawno już umarła z głodu, ale tu w sąsiedztwie mieszka jakaś staruszka, która mnie dogląda z miłosierdzia. Ah, czemuż na świecie są litościwi ludzie! gdyby ich nie było, nie cierpiałabym już dzisiaj! Częstoć zdaje się człowiekowi, że wykonywa uczynek największego miłosierdzia, gdy dopełnia największe okrucieństwo. Często dobrodziejstwo bywa klątwą. Staruszka przynosi codziennie żywność i lekarstwa lub przysyła to przez małego chłopca.

Staruszka i mały chłopiec! pomyślałem.

— W jakim wieku jest ten chłopiec?

— Może mieć dziewięć do dziesięciu lat...

— Gdybyż to on był! gdzież oni mieszkają?

— Tu obok zaraz, w najbliższem sąsiedztwie.

— Dziękuję; domyślał się, że to będą ci właśnie, których szukam...

— Chłopiec mówił, że dawniej mieszkali w tym tu pokoju.

— O, w takim razie, to oni niezawodnie. Chłopiec zapewne jest obdarty? — spytałem z obawą.

— Biedny, ale nieobdarty.

— Bogu dzięki! — zawołałem. Ale wy, biedna kobieto, jesteście, tak... tak... im więcej wam się przyglądam, tem więcej znajomemi zdają mi się wasze rysy; ale pamięć moja nie tak szybko przynosi mi obrazy przeszłości; powiedzcie: nie jesteście wy czasem Izabelą — Judytą?

— Zkąd pan wiesz, jak mi na imię?

— A więc tak jest istotnie?

— Pan mnie znasz?

— A wy już mnie nie znacie?

— Nie przypominam sobie...

— Ale bo jakże mielibyście pamiętać! wówczas inne zupełnie były czasy... tak dla was, jak dla mnie. Czy pamiętacie jeszcze, jak raz w mroźny dzień zimowy zabraliście do swego powozu biednego włóczęgę, którego zarówno Bóg jak ludzie opuścili, by go od zmarznięcia zachować?

— Być to może.

— Owym włóczęgą, ja byłem. Nie pamiętacie?

— To już musiało być dawno, dawno temu...

— Mniej więcej tak z dziewięć lat...

— To bardzo dawno; nie przypominam sobie tego.

— Mniejsza z tem. Wówczas spełniliście dla mnie dobrodziejstwo. Zaprowadziliście mnie do swego pokoju, abym się ogrzał i wreszcie daliście mi pieniądze. Nie zwykłem uraz zapominać, ale również i doznanych dobrodziejstw nie zapominam nigdy. Możecie liczyć na moją wdzięczność!

— Tak! a więc znajdzie się ktoś, co mnie każe uczciwie pochować....

— O, jakże piękną byliście wówczas, przerwałem jej pospiesznie, by jej myśl odwrócić od tych smutnych przewidywań; — jak piękną!

— Żyłam za spiesznie...

— Gdym was teraz zobaczył, myślałem, że macie z trzydzieści pięć lat przynajmniej.

— A ja zaledwie dwadzieścia pięć skończyłam. Młoda jeszcze, już się zestarzałam, a nędza w grób mnie wtrąca... ale trudno mi przeczyć: zasłużyłam na los taki. Gdyby tak nie było! Niech co chcą mówią, niezasłużone cierpienia łatwiej znieść człowiekowi, niż te, na które zasłużył. Ja zasłużyłam całym życiem na taki koniec i to jedynie tylko mnie pociesza, że koniec ten już niedaleki. O biedni moi rodzice, których wstyd i boleść z mej winy w grób wpędziła, gdy się spotkamy w przyszłym życiu, jakim czołem shańbiona córka wasza, odważy się wam spojrzeć w oczy?

Bolesne westchnienie wyrwało się z takim jękiem z jej piersi, jakby ją miało rozsadzić. Wybiegłe z orbitów oczy patrzyły nieruchomie bez blasku w niską izdebki powałę... broda opadła na piersi bezwładna... już nie żyła!

Zachodzące słońce rozdarło nagle zasłone obłoków i po przez okienko izby rzuciło snop krwawych promieni na sine usta umarłej i twarz jej białą, wychudłą.

XVII.

Z szczerą radością — więcej powiedzieć mogę — z gorącym uczuciem, przycisnąłem syna mego do piersi.

Był to żywy, ciemno-oki chłopczyzna.

— Więc to jest mój ojciec? pytał, wpatrując się we mnie wielkimi swemi inteligentnemi oczyma.

— Tak, mój chłopcze, to on! wymówiła babka, płacząc z radości.

— Ja to jestem twoim ojcem, mój synu, ja; odpowiedziałem dumny, że mam tak ładnego, tak roztropnego syna.

— Piękny mężczyzna, mówił mój syn i nie mógł mi się dość napatrzeć; za lat niewiele i ja będę takim jak on pięknym.

— Nie będziesz ty milczał, szkaradny chłopcze, zawołała babka z udanym gniewem. Ach, mój panie, ten chłopiec tak jest swywolny, że cały chyba komitat nie dałby mu rady. Niedawno temu jeszcze.. I poczciwa staruszka poczęła opowiadać tysiączne figle mego syna, których ja słuchałem z radością, każdy z nich bowiem świadczył o ognistym jego usposobieniu, szlachetnem sercu i zdrowym rozumie.

— Dzielny z ciebie chłopiec, mój synu! — przemówilem, uderzając go po ramieniu, gdy babka zamilkła! Bardzom z ciebie zadowolniony.

— Czy tak? ojczel!... szczerze mnie to cieszy, bo już nim cię poznałem, zacząłem ci być wdzięcznym.

— Za co?

— Za to, żeś tak zawsze o nas pamiętał...

— O, panie...

— Nazywaj mnie, proszę, synem, matko! przerwałem staruszcze.

— A więc przebacz, mój synu, że ci dotąd jeszcze nie podziękowała...

— Za co? spytałem zdziwiony.

— Za to, żeś nam przesyłał.

— Co przysyłałem?

— Pieniądze...

— Pieniądze?

— Którymi zaopatrywałeś nasze potrzeby...

— Ja?

— Otrzymywaliśmy je punktualnie...

— Nie żartuj, matko!

— Jakże mogłabym żartować?

— A więc drwicie?

— Boże uchowaj...

— Ależ ja wam nic nie przysyłałem...

— Jakiż masz powód przeczyć temu, mój synu?...

— Nie miałbym żadnego powodu, gdybym był sam przysyłał rzeczywiście. Bolało mnie to właśnie przez przeciąg tych lat dziesięciu, że nie był w możności dopomagania wam.

— Nie pojmuję cię! mówiła babka mega syna, coraz więcej zdumiona.

— A ja was nie pojmuję, odparłem.

— Otrzymywaliśmy tak regularnie pieniądze...

— Radosne to dla mnie, choć niepojęte. A któż je wam przynosił?

— Jan, ach ten Jan, co mi tak zawsze dokucza, mówił mój syn.

— Jaki Jan?

— Ot ten, który właśnie wsadza tu swój ciekawy nos przeze drzwi...

W tej chwili wszedł dawny mój służący. Począłem pojmować wszystko.

— Janie! zawolałem wzruszony.

— Pan mój kochany, dobry mój pan! wołał jeszcze więcej niż ja przejęty.

Chciał ucałować moją rękę, przycisnąłem go do piersi.

— O, pan zawsze taki sam dobry jak dawniej, mówił pomieszany.

— A tyś jeszcze lepszy niż dawniej! Janie, byłeś memu dziecku ojcem, opiekunem, jakże ja ci to odwdzięczę?

Jan chciał udać zdziwienie, ale szło mu to tak niezręcznie, że zdradził się natychmiast.

— Nie taj nic, Janie, przyznaj, żeś był naszym dobroczyńcą.

— Tę drobnostkę nie godzi się chrzcić taką nazwą piękną, panie. Skoro jednak dowiedziałeś się pan już o tem, przyznam się, że istotnie od czasu do czasu przyniosłem parę guldenów...

— To kłamstwo, Janie, przerwał mu Béla, bo to nie było parę guldenów.

— Ależ na miłość Boską, nie mówże panicz coś podobnego! obruszył się pocziwiec.

— No, patrzajże ojcie, on mnie zawsze paniczem przeżywa...

— A, prawda, już to ja nadokuczam paniczowił gderał stary niemal gniewny.

— Przecież prócz ciebie, nikt mnie nie nazywa paniczem... tłumaczył się Béla.

— Wszystko mi to jedno, odpowiedział Jan. Kto jest synem mego pana, ten choćby był najbiedniejszym, jest u mnie zawsze paniczem...

— Dobrze, już dobrze, przerwałem, nie sprzecajcie się tylko. Janie, Janie, niech ci raz jeszcze, niech ci sto razy podziękuję za to, coś dla mego dziecka czynił. Wiem, że nieraz pewno sam skazywałeś się na biedę...

— No, doprawdy, teraz widzę, że wszyscy się przeciw mnie sprzysięgli! wołał z rozpaczą niemal pocziwy chłopak. Nie mówmy już o tem, proszę. Nie warte to nawet wspomnienia. Pan wie, że ja zabaw nie lubię, żenić się też nie myślę; bom miał przed oczami przykład, jak dalece miłość omamić może człowieka!... to też wielka sztuka, że taki osamotniony, cichy jak ja człowiek, czynił to, co ja czyniłem. A potem miałem zawsze dość znaczną płacę; i teraz mam bardzo dobre miejsce... ale dziś jeszcze podziękuję za służbę.

— Czemuż to Janie? zapytałem.

— Dla tego, że pan powrócił, a gdy mogę służyć panu, nie chcę już nikomu innemu służyć... jeśli mnie pan przyjąć zechce tylko?

— Przyjąć, przyjąłbym cię chętnie, Janie, ale nie mogę...

— A to czemu?

— Bo nic nie mam i nie byłbym w stanie utrzymać służącego.

— Jaka szkoda! Ale wie pan co, wszakże pan tu pozostaje?

— Tak, ale jak długo, tego nie wiem!

— Póki więc pan tu pozostanie, ja przychodzić będę częściej i co pan będzie potrzebować, to proszę mi rozkazać... Ah, Boże, teraz dopiero przypomniało mi się, że mam pilny bardzo interes. Nie miałem nawet zamiaru wstępować, ale przechodząc nie mogłem choć na chwilę nie zajrzeć tutaj. A więc jutro, panie, przyjdę, skoro tylko będę mógł; tymczasem upadam do nóg. Nie potrzebuję przecież mówić, że się cieszę i jak się cieszę bardzo. Upadam do nóg. Bądź zdrow, paniczku, a naucz się paniczku dobrze lekcji na jutro, bo inaczej będą różgi.

Koniec wymówił Jan pospiesznie i wybiegł co najprędzej... niezawodnie nie dla tego, że miał tak pilny interes w mieście.

— Ach, ten szkaradny Jan! zawołał syn mój za odchodzącym, zawsze mówi o różgach, a przecież wie dobrze, że ja jestem pierwszym w szkole.

— Jesteś pierwszym, mój chłopcze?

— Najpierwszym, ojcze; jakkolwiek niedawno temu jeszcze Toni Deregi przyniósł nauczycielowi dwa dukaty. Widziałem sam, doprawdy. Ignas Heidinger zaś codzień prawie przynosi mu ciasto. Mimo to jednak Toni jest dopiero drugim, a Ignas trzecim... ale gdyby miało być wszystko sprawiedliwie w szkole i na to nawet nie zasłużyłby z nich żaden... a ja

jestem zawsze pierwszym. Dla tego tacy zawsze chłopcy, źli są na mnie. Niczem innem nie mogli się pomścić, więc pytali mnie przynajmniej zawsze: Béla, gdzie twój ojciec? Dotąd nie mogłem im nigdy na to odpowiedzieć i nieraz też musiałem płakać z tego powodu. Ale niech mnie teraz spytają, to im odpowiem — jak odpowiem! I tak co prawda, nikomu nie nigdy nie darowałem. Jeśli czasem przyjdzie mi ochota to kolejno całą szkołę wytuzuję, obooby ich było najwięcej.

Tak prawił Béla, a ja go słuchałem z prawdziwą przyjemnością i z każdą chwilą bardziej kochałem. Rozkoszą i boleścią przejmowała mnie ta myśl, że on był na świecie jedynym, z którym łączyły mnie związki krwi, a serce ścisłało mi się, gdy sobie przypominał, że z nim nie mogę pozostać na długo, na wieki.

Wreszcie przyszedł mi na myśl Hiripi, którego pozostawiłem w oberży, dokąd zajechaliśmy. Muszę się z nim dziś jeszcze widzieć, pomyślałem, bo gotów mi jeszcze gdzie uciec, on, co jest taki niespokojny.

— Muszę dziś wyjść jeszcze, matko, odezwałem się. Jutro zobaczymy się. Bóg z tobą, drogi mój Bélo!.. ale prawda, byłbym zapomniał, wszakże ja wam, matko, przyniosłem pieniądze. Macie je, weźcie.

— Zatrzymaj je, przecież nie tak zaraz nas opuścisz!

— Nie zaraz, to prawda; ale pieniądze te lepiej będą u was schowane, niż u mnie.

I oddałem jej wszystko, com wygrał przed kilku dniami.

— Ale nie, ciągnąłem dalej, połowę wezmę z sobą; człowiek nie może wiedzieć, co go spotka... tak, ale pocóżby?... jednakże...

Zabrałem z sobą połowę pieniędzy.

— A ty, Bélo, mówiła babka, gdym wychodził, skocz tymczasem do tego domu obok, zobacz, czy tej biednej kobiecie, czego nie potrzeba? idź moje dziecko.

— Zostań, mój chłopcze, nie masz tam po co chodzić. Jej nic już niepotrzeba — albo raczej jednego jej tylko potrzeba — pogrzebu.

— Czyż umarła?

— Tak, szukałem was w dawniejszem mieszkaniu i wtedy właśnie, gdym tam był, ona skonała.

— Biedna!... ale to dla niej szczęście; oby ją Bóg pocieszył!

— Proszę was, matko, zajmijcie się na koszt mój jej pogrzebem; a niech będzie pochowaną przyzwocie.

— Pójdę ją zobaczyć! — zawołał Béla.

— Co ci też przychodzi do głowy! Poczęła babka, sam jeden, tak późnym wieczorem odwiedzać trupa?

— Czemu nie? Alboż to ja się boję?

— Nie boisz się? zapytałem go.

— Nie, ojcie, niezego! szedłbym w ogień i wodę.

— Dzielny z ciebie chłopak, chodź!

I wyszliśmy razem, mój syn wszedł do sąsiedniego domu, by zobaczyć zmarłą, ja udałem się do oberży do Kacpra Hiripi.

Przeszukałem w oberży wszystkie kąty. Daremnie. Nie znalazłem go nigdzie. Wreszcie jeden z kelnerów powiedział mi, że Kacper wyszedł wkrótce po mnie, że następnie nad wieczorem powrócił, pytał o mnie, a że mnie jeszcze nie było, oddalił się pewnie. Już on powróci, pomyślałem sobie i wszedłem do gościnnego pokoju oberży, by zjeść kolację.

Skończywszy jeść, wstałem, by się udać do mego przyjaciela. We drzwiach spotkałem się... ha! z kim? Z Ternyei'm.

W czasach tułaczki mojej, bardzo często myślałem sobie, czy też jest coś na świecie, coby było w stanie, choć już nie wstrząsnąć mną, to przynajmniej wytrącić mnie z mego zwykłego spokoju? I mówiłem sobie: nie, nie, nawet widok Ternyei'ego. Pragnienie zemsty nie uspokoiło się we mnie bynajmniej, co więcej, rosło ono z dniem każdym; ale z nim spotkam się chłodno, myślałem sobie, patrzeć na niego będę jak na kamień, o który potknęła mi się noga, który podnieść mi wypadnie i rzucić w rzekę, by się on nie potknąć powtórnie. Chwila stanęła w poprzek tym spokojnym myślom, zadała im kłam najzupełniej. Gdym ujrzał Ternyei'ego, drżałem i tak byłem zmieszany, że mimo całą swą wściekłość, mimo wstręt cały, podałem mu rękę, gdy poznawszy mnie, radośnie wyciągnął swoją do mnie.

— Jak się miewasz, stary, kochany przyjacielu! zawołał. Gdzież u Boga przez cały ten czas się podziewałeś? Od czasów potopu nie widziałem cię już chyba! I nie też nie słyszałem o tobie. Dzięki Bogu, żeś powrócił wreszcie! O, cóż to za rozkosz, nagle,

przypadkowo, spotkać dawno niewidzianego przyjaciela lat młodocianych i móżdż dłoń jego uścisnąć! Jakoś nam weselej, promienniej, radośniej! Ha, mój Macieju, ileż miałbym z tobą do mówienia... muszę ci opowiedzieć wszystko, co zaszło od owego czasu, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, wszystko! Ale teraz na nieszczęście nie czas na to... towarzysze moi w przyległym pokoju i tak już są w rozpacz, że dotąd do nich nie przychodzę, bo gra bezemnie nie idzie nigdy jak się należy, prócz mnie nikt nie odważa się grać tak wysoko... to też przebacz mi, kochany przyjacielu... ale mniejsza, kilka minut wcześniej, czy później! Opowiem ci wyraźniejsze tylko zdarzenia. A więc, nie wiem czy wiesz o tem, że Róża, no, ta, o którą biliśmy się kiedyś... ah, mój przyjacielu jak mi też żal, żeś cię wówczas zranił, aleś ty chciał gwałtem, żebyś cię zabił, — ja zmniejszyłem tę rzecz, złagodziłem o ile mogłem, skierowałem w bok pistolet, aby cię zranić, ale nie zabić...

— Bezwstydny łotr! pomyślałem w duchu, on mnie umyślnie nie zabił, a drżał tak, że ledwie zdołał utrzymać pistolet.

— A więc wiesz, ciągnął dalej, że owa Róża wyszła za mąż za mnie? Ale nasze małżeństwo trwało zaledwie kilka tygodni, bo biedaczka utopiła się, wyobraź sobie, skoczyła w wodę....

Zadam mu cios śmiertelny! pomyślałem i wymówiłem na pozór obojętnie:

— Wiem o tem doskonale, Baltazarze, bo twoja żona ostatnią noc swego życia spędziła u mnie....

— Tak? — spytał najobojętniej, jakbym mu po wiedział, że ktoś wybił mu szybę w oknie.

— Tak? u ciebie spędziła ostatnią noc? bardzo słusznie zrobiła. Na jej miejscu zrobiłbym to samo. Co tam mówią o zbawieniu i potępieniu w przyszłym świecie, zależy wyłącznie, mojem zdaniem, od chwili śmierci, od tego, jak nam dano umierać. Kto szczęśliwą ostatnią chwilę życia w zaświat z sobą unosi, ten ma niebo, kto zabiera wspomnienia nieszczęścia, jako ostatnie z życia wrażenie — tego wiecznością piekło. Dla tego też każdy usiłować powinien umrzeć, o ile może najszczęśliwiej.

Tego człowieka więc zranić w niczem nie można! pomyślałem i ból ścisnął mi serce.

— Niezadługo po śmierci mej żony, ożeniłem się powtórnie, ciągnął dalej Ternyei; tak mój przyjacielu, ożeniłem się z obawy... Pewnego wieczoru przegrałem olbrzymio w karty, straszliwie — a w kilka dni później, poprowadziłem do ołtarza niezmiernie bogatą pannę, by nie stracić wszystkiego z krete-
sem, by nie zejść do tłumu, co się musi troskać o dzień jutrzejszy. O, małoduszny! Jak mogłem zwątpić na chwilę w szczęście, które zawsze się tak czarownie do mnie uśmiechało, ilekroć zasiadłem do stolika gry. Po upływie kilku dni, odegrałem się z procentem. W ogóle jednak, szczerze mówiąc, nie żałowałem nigdy mego małżeństwa, jakkolwiek zawarte było tak pośpiesznie. Nie trzeba tylko żądać zbyt wiele od kobiety — oto recepta domowego szczęścia. Tak ja uczyniłem. Moja żona jest kompletnie piękną, a przytem wyborne to stworzenie; mam dwoje

ślicznych dzieci i jestem najszczęśliwszym ojcem rodziny... dniem i nocą grywam!

— I nic nie zdołało ci zamącić twego szczęścia? spytałem go.

— Nie, nigdy; odpowiedział, póki człowiek jest bogatym, czegożby mu braknąć mogło?

Póki człowiek jest bogatym... powtórzyłem za nim w duchu. To więc jest twoja Achillesowa pięta.

— No, ale teraz musimy się rozstać, kochany przyjacielu, wymówił Ternyei, ja spieszę, do moich towarzyszy... ty nie grywasz dotąd? dawniej przekłęcie nienawidziłeś karty.

— Ale dziś ich tak nie nienawidzę...

— Co słyszysz?

— Czasem grywam nawet.

— Czyż podobna?

— Człowiek starzeje się i nabywa rozumu.

— I ty go nabyłeś? Cieszy mnie, że to słyszysz. Ja to zawsze mówiłem, że ty z czasem wyleczysz się z twego głupiego marzycielstwa, którem tak cię bogato wyposażyla natura. No, że raz wreszcie dojrzeje twój rozum, że i serce uszlachetni się z czasem... bo według mnie, kochany przyjacielu, najszlachetniejszą jest gra. Tym sposobem więc dzisiejszą noc z sobą spędzimy, nieprawdaż?

— Przynajmniej jakąś część nocy, odparłem i pomyślałem walcząc sam z sobą: utrzymanie twoje lat kilku, mój synu, stawię na kartę... o, czemuż za brałem z sobą te przeklęte pieniądze... wszakże chciałem je zostawić w domu, a ten szatan... ale połowy nie mam z sobą, ta jest bezpieczna; jeślibym

stracił to, co mam przy sobie, zostanie jeszcze dość na teraz; tymczasem zaś mogę zdobyć więcej, póki się tamto nie wyczerpie...

— Nad czem namyślasz się tak długo, Macieju? przerwał Ternyei moje bolesne myśli.

— Nad niczem, nad niczem... możemy iść.

I weszliśmy do pokoju gry.

Traciłem, wygrywałem, to znów traciłem, znów wygrywałem — tak szło czas niejaki. Wreszcie po-
cząłem bezprzestannie przegrywać... pot lał mi się z czoła... ręce mi drżały tak, że często wypadały z nich karty... postawiłem ostatniego guldena... oko mi pałało żarem... tchu w piersi brakło... straciłem wszystko!

— Ternyei, wyrzekłem z chłodem, — Ternyei, nie mam przy sobie więcej pieniędzy... pożycz mi paręset guldenów...

— Nie masz więcej przy sobie? odpowiedział zagadnięty, może i przy sobie i nigdzie indziej... Ale nie mówię dla tego, żebym ci nie chciał pożyczyć: ile ci potrzeba?

— Nie! odpowiedziałem z pogardą. Moi panowie, zwróciłem się do reszty graczy, który z was zaufa mi tyle, by mi do jutra pożyczył czterysta guldenów?...

Tak wysoką była właśnie suma, którą zostawiłem u babki mego syna.

— Dam ją panu, odezwał się jeden z graczy, ale do połowy wygranej...

— Jak to pan rozumiesz?

— Jeśli pan przegrasz, dług wypłacisz mi jutro; jeśli wygrasz, podzielimy się wygraną.

— Hm, to wielki procent... ale mniejsza, niech i tak będzie. Proszę o pieniądze.

Stwierdzono to maksymą graczy, popartą licznymi przykładami, że pożyczony pieniądz przynosi w grze szczęście. Doświadczyłem tej nocy tego na sobie.

Nad ranem rozchodziło się towarzystwo. Mój wierzyciel otrzymał za swe czterysta guldenów tysiące, a ja tysiące zabierałem z sobą, tysiące te zaś były własnością Ternyei'ego, który na odchodnym p. z. m. powiedział do mnie z szyderczym uśmiechem:

— Szedłbym w zakład, że uciekniesz nam z tą trochę grosza, tak, że cię nikt nie zobaczy.

— A jeślibyś mnie zobaczył!

— A więc powrócisz tu?

— Kiedy?

— Jutro... to jest dziś wieczór.

— Będę tu.

Byłem w oznaczonej godzinie w tym samym pokoju gry. Wieczorem zasiedliśmy u stolików i grali bez przerwy do południa następnego dnia. Wtedy wstaliśmy. Ternyei szukał swych rękawiczek i nie mógł ich znaleźć.

— Toż je już włożyłeś, zawołałem.

Wziął za kapelusz i siedł ku drzwiom.

— Czekajno pan, odezwał się któryś z graczy, zamiast swego, włożyłeś pan na głowę mój kapelusz.

— Przepraszam, prawda, odpowiedział Ternyei, pochwycił swój własny kapelusz i chciał się oddalić,

— Słówek jeszcze, Ternyei, zatrzymałem go; słówko tylko jeszcze. Baltazarze Ternyei, złamałeś mi życie, wydarłeś mi narzeczoną... ja ci wydarłem wszystko... bo pieniądz dla ciebie był wszystkim... zrobiłem cię nędzarzem — żebrakiem.

XVIII.

Czyż to ja rzeczywiście, co niegdyś bosemi nogami przebiegłem drogi, a dziś chodzę tylko w kosztownem złotem przetykanem obówiu po miękkich, puszystych kobiercach? co niegdyś, by się okryć nędzną siermięgą w mroźny dzień zimowy zdarłem ją ze straszdyła na wróble, a dziś, gdy się rozbieram z jednego aksamitnego ubrania, to po to chyba, by włożyć inne jeszcze strojnniejsze, jeszcze kosztowniejsze? Jaż to rzeczywiście, co niegdyś pod gołem niebem miewałem za jedyne wezglowie kłodę drzewa lub kamień, a który dziś spoczywam pod jedwabnymi kołdrami, na poduszkach z batystu? Jaż to rzeczywiście, który kiedyś na ulicy wydierałem zgłodniały psu kawał kości, a dzisiaj jadam ze srebrnych półmiseków najdelikatniejsze potrawy? Ha, czyż to ja, ja istotnie, co zdradzony, niegdyś sponiewierany, obrażony w najświętszych uczuciach, po latach dzieśściu pomściłem się na swym wrogu. Czyż to ja?

Tak rozmyślałem.

Ternyei zaś popadł w nędzę, popadł wraz z żoną i dziećmi, których żal mi było szczerze, bom widział, że ich nie kocha. Gdyby był kochał żonę

i dzieci, nie byłbym ich nawet żałował; byłbym szczęśliwszym jeszcze w mej zemście, widząc, że i ci cierpią, których nędza boli go więcej niż własna.

Długo, bardzo długo nigdzie się z nim nie zszedłem.

Raz jechałem gdzieś. Na pierwszej stacyi, gdzie mi przepręgano konie, czekając nim je przyprowadzą, stałem na ulicy i rozglądałem się do koła. Nie daleko od poczty, budowano coś. Przypatrywałem się rozpoczętej budowli. Pośród robotników, dźwigających ziemię i cegły, poznałem Ternyei'ego. I on mnie spostrzegł, nagle odwrócił twarz i spuściwszy w ziemię oczy, popchnął naprzód taczki, które też zatrzeszczały pod ciężarem. Twarz jego była wilgotną... od łez czy potu? a może od obojga razem? Pytałem o niego innych wyrobników. Tyle tylko mogli mi o nim powiedzieć, że co dnia pracował jak bydle, a gdy otrzymał zapłatę, wpadał do pierwszego z brzegu szynku i tam przegrywał zarobiony pieniądz.

XIX.

Życie moje dotąd podzielone było między mego syna i zemstę moją; gdym zaś już zadość uczynił tej ostatniej, poświęciłem je wyłącznie tylko synowi.

Nawykiem już do ubóstwa, do nędzy wszelkiej i nigdy nie pragnąłem bogactwa, a gdyby tylko chodziło o mnie, byłbym mógł wygrany Ternyei'ego majątek rzucić równie dobrze w wodę, ale ponieważ szło tu o mego syna, postanowiłem dlań go zatrzymać i o ile możności powiększyć. A syn mó

zasługiwał w zupełności na starania i tę miłość, która z dniem każdym rosła w mem sercu ku niemu. Jana, tego szlachetnego Jana, wziąłem do siebie... nie za służącego uważałem go, ale za przyjaciela, był on zarządcą mego domu, zajmował się wszystkim. — Zwolniłem go od wszelkiej cięższej pracy; ale uprosił mnie, by skoro nie mu już robić nie dam, wolno mu było przynajmniej czyścić moje suknie. Śmiać się musiałem, choć mnie to i gniewało trochę, zezwolić jednak trzeba było na ten kaprys.

A Kasper Hiripi?

Nieszczęśliwy ten nie przyszedł już wcale do oberży, do której zajechaliśmy obaj. Szukałem go codziennie i wszędzie rozpytywałem o niego... ale nigdzie na ślad żaden nie mogłem natrafić. Wreszcie zaniechałem poszukiwań i straciłem wszelką nadzieję znalezienia go kiedykolwiek. Nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo bolało mnie, żem stracił z oczu człowieka, który w mej nędzy, jak w życiu całym nawet, z wyjątkiem Jana, był jedynym przyjacielem, któremu zawdzięczałem, żem się mógł pomścić na mordercy mego szczęścia.

Raz przyszedł do mnie Jan z następującą nowiną:

— Panie, począł opowiadać — byłem w mieście. Gdym przechodził koło jednego z szynków, kelner czy właściciel, wyrzucał z niego właśnie jakiegoś człowieka, niemniej obdartego jak pijanego. Tak sobie podchmieleł biedaczek, że gdy wyrzucono padł na ulicę i leżał sobie najspokojniej w świetle na bruku; nie był już w stanie postąpić ani kroku dalej.

— No, i cóż mnie to może obchodzić?

Stryczek Kata.

— To nie, ale gdy upadł, odrzekł mi Jan, wymawiał pańskie nazwisko...

— Moje...

— Tak, przywoływał pana i jakiego Garanyi czy Glabányi, czy jak tam... nie mogę sobie przypomnieć: dajno mi rękę, kochany mój kasyerze, drogi mój przyjacielu Andorlaki! daj mi rękę, nic nie widzę, do koła taka straszna ciemność... podaj mi rękę i prowadź, bo wiesz co Gradanyi czy... a, jakże się tam nazywa, zaraz potem zaczął mówić wierszami...

— Ah, wszakże to Hiripil zawołałem radośnie.

— A więc pan zna tego człowieka rzeczywiście?

— Bardzo dobrze...

— Zabawny jakiś człeczyna ..

— Idź, mój kochany, idź natychmiast tam, gdzieś go widział i przyprowadź go tutaj. Ale zabierz z sobą lokaja, bo może sam nie mógłbyś tego dokonać...! jego często napada taka straszna ciemność, że do koła siebie nic nie widzi.

— A któż to jest ten człowiek?

— Takiż jak ty szczerzy, prawdziwy mój przyjaciel!

— Pański przyjaciel? nie do wiary!...

— Już ty sam uwierzysz, skoro ci opowiem kiedy historię naszej przyjaźni. Ale teraz niema na to czasu. Spiesz się, żebyś go zastał tam jeszcze.

Jan wraz z lokajem przynieśli bezprzytomnego Kacpra do mnie. Nazajutrz w południe na szczęście wytrzeźwiał najzupełniej.

— Czy poznajesz mnie, Kacprze, spytałem go.

— Hm, tak od wierzchu głowy, aż po szyję, możemy i poznać; ale co do reszty, to musiałbym po-

wątpiewać; czy istotnie jesteś moim dawnym kasjerem... odpowiedział Hiripi, coraz więcej zdziwiony to wspaniałym pokojem, w którym byliśmy, to znów kosztownem mojem ubraniem.

— A jednak to niemniej dawny twój kasjer... który i nadal pragnąłby na ten tytuł zasłużyć...

— Ja przecież nic z tego rozumieć nie jestem w stanie; choćby mi przyszło nawet zaraz wypić kufel zimnej wody; wytłómacz mi, proszę cię, co to znaczy, nie męcz dłuższą niepewnością...

— Nie trudne to do pojęcia; to słowo wszystko wyjaśnia. Od dwóch tygodni jestem panem i to panem krociowym...

— Krocie, krocie guldenów! zawołał i otworzył szeroko usta, a gdy z podziwu przyszedł wreszcie do siebie, pochwycił się szybko za głowę, jakby z niej chciał zdjąć czapkę, której tam wcale nie było.

— Teraz ani wiem, jak cię mam tytułować... mówił dalej onieśmielony.

— Nazywaj mnie jak dawniej: przyjacielem,—ośmielełem go; — jakkolwiek nie jesteś moim prawdziwym przyjacielem, skoroś mi pozwolił tak się troszczyć o siebie.

— Ja? A jakimżeto sposobem?

— No, żeś odszedł z oberży, w której cię pozostawiłem i już począłem wątpić, czy się jeszcze kiedy w życiu zobaczymy...

— Tyś się troskał o mnie, mój kochany; ależ i moja dola w tym czasie nie była słodką. Pomyśl, skara-ny byłem przez cały ten czas na picie chrzczonego wina?!

— Jakto?

— Tak, mój przyjacielu, tak, bom pijąc zawsze musiał płakać, a łzy padały mi w kieliszek. Ciebieм oplakiwał.

— Czemużeś nie powrócił do oberży!

— Bom nie mógł znaleźć właściwej drogi do oberży, kochany mój przyjacielu...

— Ale wszakże raz tam już powróciłeś był, jak slyszalem...

— Tak, to prawda, ale Boże odpuść, byłem jeszcze trzeźwy. Od owej zaś chwili, nastały dla mnie straszliwie ciemne czasy...

— A gdzieżeś zostawił porządne swoje ubranie?

— I ty możesz mnie jeszcze pytać? Jakbyś nie wiedział co to za pogańskie plemię ci szynkarze? Naprzód wywabią człowiekowi pieniądze z kieszeni, potem suknię z grzbietu!...

— No, to mniejsza, będziesz miał inne, ile zechcesz tylko. A teraz pomówimy o przyszłości, mój Kacprze. Tyś był węgielnym kamieniem wielkiej budowy mego szczęścia, dzielileś ze mną nędzę, ja z tobą podzielę bogactwo, na które zasłużyłeś sobie z obu tych powodów. Pozostaniesz u mnie do śmierci, a ja spełniać będę wszystkie twoje życzenia.. O jedno tylko cię proszę, mój przyjacielu, zaprzestań trochę picia..

— Pozostanę u ciebie, odpowiedział Hiripi, pozostanę u ciebie do śmierci, choćbyś i nie spełniał wszystkich mych życzeń; ale tej wielkiej ofiary nie żądam odemnie, przyjacielu...

— Jesteś więc niepoprawnym, Kacprze?

— Mój kochany, człowiek musi mieć przecież charakter silny, niezłomny!

— No, więc róbże już sobie co chcesz, byleś został. I postanowiliśmy razem żyć i umierać razem.

Po kilku dniach przyszedł do mnie z wielce poważną, zafrasowaną miną.

— Wiesz ty co? przemówił, myślałem sobie o czymś...

— O czymże?

— To spokojne życie nie warte i złamanego szeląga, chodźmy razem w świat znowu.

— Po co?

— By się tak bawić jak niegdyś...

— Jak niegdyś?

— Z owych dobrych, dawnych czasów, gdyśmy, pamiętasz....

— Co ci też przychodzi do głowy. Czy ci tu czego brakuje?

— Otóż, czego mi brak, co mnie boli, że mi tu niczego nie brakuje...

— Bądźże rozsądnym, Kacprze.

— Kochany Macieju, w tak cichem życiu, krew zasypia w człowieku... krzepnie...

— Bądź lepiej szczerym, powiedz raczej, że ci się coś tu niepodoba, lub czegoś ci nie dostaje... powiedz, a życzenie twoje natychmiast będzie spełnieniem...

— Ależ wszystko, co mi tam mówisz, jest bajką. Mogę wraz z Gvadaryi'm powiedzieć... w łonie matki i w jej piersi nie było mi lepiej, jak u ciebie

wszakże mimo to, muszę iść, a że nie możemy się z sobą rozstać, spodziewam się więc, że pójdziesz wraz ze mną...

— Ja, Kacprze? A syn mój!...

— Prawda, że ty masz syna! A więc musimy się rozstać; serce mi na tę myśl pęka, ale musimy, mój złoty, musimy się rozejść...

— Czyż cię nic nie wstrzyma?

— Nic, absolutnie nie...

— Idźże więc. Ale przyrzecz mi, że powrócisz.

— Przyrzekam ci to, przysięgam nawet!

— Gdybyś czego potrzebował...

— Przychodzę natychmiast!

Z płaczem, z łkaniem pożegnał się i poszedł w swą drogę! Po upływie kilku miesięcy powrócił i spędził u mnie kilka dni i znów odchodził. Trwało to lat ośm. Dwa, trzy razy do roku zjawiał się u mnie, ale nigdy nie mogłem go dłużej nad tydzień zatrzymać. Raz przyszedł chory i już nie mógł odejść. Po kilkotygodniowej chorobie umarł. Byłem przy nim, gdy wydawał ostatnie tchnienie... pełen współczucia, stałem u jego łóża. Ostatnie słowa jego były:

— Niczego nie żał mi w życiu, mój kochany, tego tylko jednego chyba, że ja, com taki wstręt czuł do wody, muszę umierać na wodną puchlinę.

Potem począł coś cytować z Gvadányiego — ale śmierć przywarła mu usta. Kazałem go świetnie pochować i na grobie postawiłem mu pomnik z marmuru.

XX.

Było to jedno z owych jesiennych popołudni, gdzie miasto i przyroda oddają się rozkosznej drzemce czy też pogrążają w zadumę... i gdzie dźwięk każdy, co dobiegnie naszego ucha takim się nam dziwnym wydaje. Zwykły głos ludzki, dzwonu uderzenie, wszystko jest inne jakieś niż zazwyczaj... jakby nie było w obecnej chwili, ale przychodziło do nas z jakiejś bardzo dalekiej przeszłości znużone... W takich chwilach kto może, ucieka najchętniej w ciszę swego pokoju, rozpala ogień na kominku i podczas, gdy drzewo trzaska i bucha płomieniem, przechodzi się wielkimi krokami wzdłuż pokoju i nie mówi, tylko słucha mowy swych wspomnień. Nas było dwóch w pokoju. Ja i Jan. On siedział w milczeniu u komina; palił cygaro i od czasu do czasu poprawiał ogień; ja przechodziłem wzdłuż i szerz pokój zagłębiany w myślach... Wreszcie siadłem przy oknie i spoglądałem na ulicę bez celu. Wzrok mój padł przypadkowo na wielkie orzechowe drzewo stojące wprost okna.

— Janie... począłem, patrzaj, niema na dworze wichru, a przecież liście opadają z tego drzewa.

— Jak włosy nasze, panie, uzupełnił Jan.

— Niegdyś, dodałem, te liście były tak zielone, dziś tak pożółkły.

— Niegdyś, mówił Jan, tak czarne były nasze włosy, dziś takie już są siwe.

— Starzejemy się, mój kochany, starzejemy coraz to bardziej. W którym roku tyś się urodził?

— Nie wiem tego, wiem tylko, że niedawno skoń czyłem czterdzieści jeden lat.

— Teraz mamy rok tysiąc ośmset ośmnasty, urodzi-
łeś się więc w tysiąc siedmset siedmdziesiątym siód-
mym, to jest dwa lata później niż ja. Ja mam już
czterdzieści trzy lata.

— A panicz?

— Ma teraz lat dwadzieścia jeden.

— Mój Boże! Mnie się zdaje, że to wczoraj zale-
dwie, gdy po długiej nieobecności powróciłeś pan
do nas; a przecież to już blisko jednaście lat temu.
Jakże ten czas uchodzi!

— Czas, stoi sobie, mój kochany Janie, to my bie-
gniemy tylko... ale wstecz, jak raki i dla tego też
sposstrzegamy, kiedy staczamy się w ową przepaść,
którą zowią grobem, a wówczas i my już stajemy
się częstką nieruchomej wieczności.

Nastąpiła długa chwila milczenie i zamilkliśmy
obaj. Powstałem i począłem przechadzać się znowu
po pokoju, jakby mimowolnie poddając się tej my-
śli, że kiedyś przyjdzie mi wieczność całą spędzić
nieruchomie. Przechadzałem się w milczeniu, smutny
i słuchałem miarowych uderzeń zegaru.

Tentent galopującego konia obudził mię z tej za-
dumy.

Wyrzalem oknem... syn mój przyjechał. Koń, z któ-
rego zsiadał pokryty był pianą i błotem, żyły mu
nabrzmiały, rozdęły się nozdrza i buchały pary słu-

pami. Nogi drżały pod nim. I Jan przybliżył się do okna, a patrząc na zmordowane zwierzę, potrząsał głową:

— Aj, aj, panicz zaów męczy sobie głowę, jakby najprędzej można zamęczyć tego wierzchowca, jak tylu innych...

— Pozwól mu się bawić, mój Janie, to jego przyjemność, a koni dość przecież stoi w stajni...

— Ale z temi, które już zamordował, byłoby znacznie więcej, zauważył Jan mądrze.

Mój syn skoczył na ziemię, poklepał szyję konia i puścił go do stajni, a sam wszedł do nas.

— Ależ, paniczu, na miłość Boską, czemu tak się pastwić nad biednemi zwierzętami, zburczał go Jan.

— Już znowu nauczka, Janie? już znowu? Ale dobrze, pouczaj mnie, pouczaj... już to taki zwyczaj.

— Jać to wiem dawno, odrzucił Jan, że panicz niczego nie słucha; szkoda słów.

— Ale cóż bo ja mam robić, kochany Janie? jeździć muszę, a skoro raz już siedzę w siodle, nie mogęż przecie jechać truchtem, jakbym miał pod sobą osła. Potem, gdy się zapalę..

— Co się zdarza bardzo często! dodał Jan szybko.

— Być może, mówił Béla, być może. A więc gdy się trochę zapalę, całkiem bezwiednie daję koniowi ostrogę; a to śmieszne stworzenie, skoro poczuje tylko ostrogę, wyobraża sobie, że chce ptaki chwycić w locie, lub że mi zbrzydło ziemskie życie, mam zamiar dostać się na ziem do nieba i kto wie, czy by się też nie wzniosło ze mną w obłoki, gdybym go nie powstrzymywał.

— No, już dobrze, męcz pan tak zawsze tylko to biedne zwierzę... mruknął Jan.

— Skoro już muszę coś męczyć koniecznie, to wolę przecież zwierzę, niż człowieka. Ciebie, przyznasz, nie mogę osiodłać, mój Janie, dodał Béla z uśmiechem. Za stary byłby też z ciebie rumak.

— Dobrze to paniczowi mówić o starości, gdy sam jest młodym, odcinał się Jan, ale i panicz postarzeje się z czasem...

Prorocstwo Jana nie spełniło się niestety, syn mój nie doszedł starości.

— A dziś osobliwie miałem przyczynę, dla której można było całkiem o koniu zapomnieć, ciągnął Béla dalej. Widziałem cudne dziewczę, ale to prześliczne...

— Proszę. Zawsze mówi nam panicz to samo, gdy z kądkolwiek powraca.

— Bo zawsze zobaczę jakąś ładną. Ale przyznać muszę, że takiej, jak ta, nie widziałem jeszcze.

— I to już nie po raz pierwszy panicz mówi...

— Ale niezawodnie po raz ostatni, bo niepodobieństwem jest wyobrazić sobie od tej piękniejszą. Uśmiechasz się, Janie?... słowo ci daję, gdybyś zobaczył to dziewczę... ale co ja mówię? Dziewczę! O, jak to okropnie, że w całym ludzkim słowniku niema nazwy na tego rodzaju istoty, które o tyle są od aniołów piękniejsze, o ile my sobie aniołów piękniejszymi od kobiet wyobrażamy. Mówię ci, Janie, gdybyś ją zobaczył: każdy z twych siwych włosów powróciłby do swej młodzieńczej barwy... słowem, ze starego Jana zrobiłby się dawny Jasiek. Ha, ha, ha

— Ho, ho, jak pięknie! zawołał Jan. Już ja do-
czekam tego czasu, że pan będziesz jeszcze mówił
wierszami, jak ś. p. pan Kacper Hiripi.

Trzy lata ubiegło od owego czasu, gdym mego
pocziwego Kacpra odprowadził tam, dokąd nie to-
warzyszyło mu już jego nieugaszone pragnienie — na
cmentarny spoczynek — a przecież jeszcze na samo
wymówienie jego imienia ścisnęło mi się żalem ser-
ce. Często przychodził mi na myśl, często wspominał
go syn mój, lub Jan, lub wszyscy trzej razem i o ile
mnie zasmucała śmierć jego, o tyle rozweselało wspom-
nienie jego żartów. Błogosławieni niechaj będą ci,
co przez ciąg całego życia nikomu nie sprawili bo-
leści, a i po śmierci jeszcze rozweselają tych, któ-
rzy ich znali. A jednak historia nie zna tych, któ-
rzy rozweselali bliźnich, zamilcza o nich, ale zapi-
suje natomiast imiona tych, przez których płakały
tysiące, miliony ludzi. Wonny wietrzyk powiewa,
przechodzi i niknie bez śladu; orkan, co wywraca
wszystko, niweczy i łamie, pozostawia po sobie dłu-
gotrwałe ślady.

— Ale daremnie mówię wam o piękności owego
dziewczęcia, opowiadał syn mój dalej; daremnie, bo
gdybym niewiedzieć jak długo mówił, zeszedłbym
tam, od czego zacząłem, to jest: chciałbym ją wam
odmalować, bo móż — nie mógłbym. Jednem sło-
wem, jest piękną. Musi być biedną, sądząc po sukni
jej i mieszkaniu... ale może los dla tego stworzył
ją tak ubogą, by jej piękności tem więcej uwyda-
tnić. O, wy panny, co się stroicie jak małpy w cyr-
ku, idźcie do niej i tam się uczcie, że nie suknia

zdobi dziewczynę! Znudziłem się przejeżdżaniem po ulicach, gdzie tylko siostry owych paniczów, co mnie niegdyś nazywali podrzutkiem, przybłądą, z okien rzucały ku mnie miłosne spojrzenia... nie pragnę ich bynajmniej! Jak mówiłem, nudziło mnie już to paradowanie po ulicach; dla tego wyjechałem za miasto i gdy mijał ostatni już niemal przedmiejski domek, spostrzegłem istną Wenus Medycejską. Przed jej domem jest maleńki ogródek, tam ona stała przyglądając się ostatnim jesieni kwiatkom, wszystkie już przekwitły prawie, nie wiem czy rażone oddechem zbliżającej się zimy, czy też z zazdrości, że swą urodą nie mogły dorównać ogrodniczce. Spiałem konia, osadziłem go tuż obok żywopłotu, co okalał ogródek i poprosiłem o kwiatek, który mi z uśmiechem po przez płot podała, a który ja włożyłem w dziurkę od guzika, ale podczas jazdy, niestety, zgubiłem... no, mniejsza z tem! jutro znów tamtędy pojedę i jeśli będzie przed domkiem, o inny poproszę. Gdy mi ten kwiat dała, spiałem konia, by z niebios zerwać gwiazdę i jej ofiarować wzajem... nagle przypomniało mi się, że to nie noc lecz dzień jasny, jaknajpowszedniejszy dzień. Krzyknęła, a że krzyknęła z przestachu, tom wyczytał z jej pobladłej twarzy, gdy się raz jeszcze obejrzał. Wtedy puściłem konia galopem, tak, że z pod błota drogi, zda się, pryskały iskry niemal. Za powrotem, spojrzałem w okienko przedewszystkiem domku. Moja piękna ogrodniczka siedziała u okna; zdjąłem przed nią kapelusz, a ona skinęła mi główką. Ah, to jedno skinienie, mogłoby cały porządek świata przewrócić!

lub nowe stworzyć światy!... ale prawda, teraz mi się dopiero przypomniało... kochany Janie, gdzie też schowałeś moją szablę?

— Na cóż znów potrzebna paniczowi szabla? spytał Jan przełęczniony.

— No, a nacóż przydać się może szabla w rękę uczciwego człowieka, mówił syn mój — jeśli nie na to, by na twarzy łotra wypisać *pro memoria* te słowa: popraw się!

— Na miłość Boską! biadał Jan, już znowu pojedynek?

— Już znowu! już znowu! zawołał Béla płonąc, mam już dwadzieścia jeden lat, a dopiero miałem dziesięć pojedyneków... toż zaledwie jeden przypadnie na dwa lata życia! doprawdy, wstydzę się.

— Zobaczysz, paniczu, że kiedy zginiesz jeszcze w pojedynku...

Jan prorokował znowu, ale znowu fałszywie, bo syn mój nie zginął w pojedynku.

— A gdyby i tak być miało, odpowiedział Janowi, będę karał nikczemników, póki ich tylko będę mógł karać. Ale nie lękaj się o mnie, nie lękaj, mój Janie; nie myślę ja się strzelać z nikim na śmierć, bo też nikogo nie myślę zabijać, pragnę tylko naznaczyć sobie tych, którzy mi się niepodobają, aby ich poznać, gdy się kiedy znowu z nimi zetknę. Nie przechwałki to, bo gdybym się rozebrał, nie dopatrzyłbyś na mojem ciele więcej ran nad dwie. Dziesięć pojedyneków a dwie rany! toż przecie niema co rozpaczać.

— I z kimże tam znowu panicz się poczuł? spytał Jan.

— No, no, Janie, cofniesz to słowo, bo moglibyśmy się poróżnić. Ja z nikim nigdy się nie czubię...

— No, przecież panicz wie, że ja tak nie myślę; bo to człowiek nie może zbyt słów dobierać, paniczu, tłumaczył się Jan, chciałem zapytać tylko, z kim się pan poróżniłeś?

— Z nieznośnym, próżniaczym włokosem, który jest jednym wielkim zerem, stojącym przy cyfrze krociów swego ojca i który tak się nadyma i napusza, jakby był istotnie najpierwszą w tej sumie liczbą, z tym Deregim, który był moim szkolnym kolegą i który, gdym ja był pierwszym, najbliżej mnie siedział, jakkolwiek zasługiwał na to, by siedzieć odemnie najdalej. Kiedym dzisiaj po obiedzie wyjechał, dostrzegłem go niedaleko od naszego domu. Jechał konno również. Z przeciwnej strony nadchodził biedny jakiś żebrak, a że mu nie zszedł z suchej części drogi, zepchnął biednego starca swym koniem w największe błoto, tak, że w nie wpadł. Nie mnie więcej nie może oburzać, jak kiedy kto tak grubiańsko obchodzi się z ubogimi. Gdybym był miał broń przy sobie, kto wie, czybym na miejscu nie napiętnował tego chłystka. Wyprzedziłem go i tę wzdętą, pyszną twarz uczestowałem takim uderzeniem mojej szpicruty, że i mieczby go się nie powstydział. Nie zadowolnił się tem jeszcze i gwałtem domaga się, żebym mu jutro trochę tej próżniaczej krwi upuścił. Z całą przyjemnością. Skorom wysłuchał jego wyzwania, zsiadłem z konia, pomogłem

biednemu staremu podnieść się z błota, potem pojechałem dalej.

Takim był syn mój w dwudziestym pierwszym roku swego życia.

A w dwudziestym drugim?

Umarł. Z ręki kata. Na szubienicy. Niewinnie.

XXI.

Następnego dnia rano, wyszedł syn mój na pojedynek, a gdy powrócił, wymówił najspokojniej:

— Zadałem mu ranę.

Po południu wyjechał, a powracając wołał w zachwycie:

— Otrzymałem kwiatek.

XXII.

Sprzeciwiało się to mojej zasadzie, mieszać się w miłostki mego syna, to też nie wypytywałem go o ową dziewczynę, która, jak mi się zdawało, z każdym dniem podobiała mu się więcej i do której wreszcie przywiązał się namiętną miłością. Wiele myślałem nad tem, czem się to działo, że ja, gdym Różę zobaczył, od pierwszej chwili pokochałem ją szaloną miłością, a w synu moim, który z natury był bez porównania ognistszym odemnie, zwolna dopiero uczucie nabierało siły namiętności. Każde uczucie wszakże podciągnąć można pod psychologiczne

reguły prócz miłości; w państwie ducha wszelkie inne namiętności są strumieniami, rzekami, których głębiny mniej lub więcej zręczny nurek zbadać może, miłość zaś jest niezgłębnym oceanem... lub jeśli namiętności są gwiazdami, ona wśród nich jest kometą, która niema wytkniętej sobie drogi.

Béla ze zwykłą kochającym akuracnością, chodził co dnia do domku na przedmieściu, a gdy już nie było kwiatów, przynosił z niego pocałunki. Wkrótce przecież, szybciej dla niego niż dla innych, nadeszła wiosna, a wówczas już i kwiaty i pocałunki otrzymywał od ukochanej. Dotąd nie uważałem w nim nigdy zbytnej namiętności do botaniki.. jeździł konno, fechtował się, pływał, ślizgał — to były raczej ulubione jego zabawy. Obecnie wszakże na przekór dawnym upodobaniom, zajmować się począł kwiatami. Każdy bukiet, otrzymany od ukochanego dziewczęcia, wkładał w wazony i doglądał starannie. Raz przy takim zajęciu, zagadnął mnie nagle:

— Ojcie, gdyby mi też przyszła ochota ożenienia się, czybyś mi pozwolił z nią się ożenić?

— Czemużby mi, mój synu?

— Bo jest ubogą...

— I ja byłem ubogim...

— I z niskiego stanu pochodzi...

— Ja również nie należę do rodziny magnackiej...

— A więc nie miałbyś nic przeciw temu, ojcie?

— Bynajmniej, mój synu!

— Jakiś ty dobry, ojcie!

— Spełniam rodzicielski obowiązek tylko. A więc już myślisz o małżeństwie?

— Rzadko, coprawda. Ale od pewnego czasu coraz częściej. Rozmawiamy często i długo z Ludwiką, a tak nam z sobą dobrze. Dziwnie różowym jest pryzmat, przez który, gdy weń patrzymy, świat takim czarownym rajem nam się wydaje, jakim prawdopodobnie nie jest w rzeczywistości. A skoro w moich oczach nie jest on już tak czarownym, tak pięknym, jakimż dopiero musi się on wydawać w oczach twoich, ojcze, coś już tyle, tyle widział? Życie jest krainą złożoną z amalgamatu pustyń i rozkosznych oaz, widniejących najpyszniejszymi kwiatami, jakim zaś ono nam się wydaje, zależy to widocznie od punktu, z którego nań poglądamy. Dla mnie ten najpiękniejszy punkt, z którego świat mi się zda najczarowniejszym — jest obok Ludwiki. Cóż to za dziewczyna, kochany ojcze! Sądziłem, że niema w świecie nic doskonalszego nad jej piękność, ale dusza jej jest doskonalszą jeszcze nad powaby ciała. I rodzice jej, to tacy poczciwi ludzie. Idę tam natychmiast, oznajmię wszystkim, że się ożenię z Ludwiką i to im prędeż, tem lepiej...

— Gdybyż tak żyła babka panicza, przerwał Jan, jakżeby się cieszyła... Niech jej Bóg da niebo!... Ale paniczu, panie Bélo...

— Cóż Janie? spytał syn mój.

— Chciałem coś powiedzieć paniczowi...

— Co takiego, Janie?

— Coś...

— Tylko, że to tyle jest na świecie tych najprzeróżniejszych rzeczy, że niepodobna mi odgadnąć o jakim to „coś” chcesz mówić?

— A więc... ale niech to panicza nie obraża...

— Obraża, a zkądże to, Janie? przecież ty byś mnie nie obrażał.

— No, paniczu, skoro mi przyrzeczesz, że...

— Ależ przyrzekam wszystko, tylko mów już raz!

— Chciałem powiedzieć tylko, że gdyby z czasem, no, jakże się to mówi... miał być potrzebnym ojciec chrzestny, wówczas nie szedłbyś, paniczu, szukać go po za domem... abym ja mógł raz w życiu, skoro już nie mam własnych dzieci, zostać przynajmniej chrzestnym ojcem. Tak sobie tylko myślałem.

— Dobrze, pocciwy mój Janie, dobrześ myślał, odrzekł syn mój, ten pomysł, honor ci przynosi. Ale czyż sądzisz, że w danej chwili jabym sam tego nie zrobił, bez twojej propozycji? Jeśliś tak myślał, doprawdy, myliłeś się, Janie!

— I panicz już myślał o tem? No, proszę, ktoby to powiedział, że pańskie myśli tak daleko sięgają, dodał Jan z uśmiechem.

Béla podążył do Ludwiki. Ja pozostałem sam z Janem, który począł mówić wiele o przyszłości mego syna, o tem, jak będzie uczył mówić i chodzić moje wnuki, jak będzie się bawił z dziećmi Béli, tak jak niegdyś bawił się z nim samym. Wszystkie te marzenia, te powietrzne zamki, przerwał nam nagły powrót Béli, który w kwadrans zaledwie po odjeździe już powracał.

Prędzej jeszcze niż zwykle, wpadł koń jego spieniony na dziedziniec. Boki jego poranione, ciekły krwią snąć od ostrogi jeźdźca; a i ubiór jeźdźca był okrwawiony.

— Co się stało? spytałem go przerażony.

— Zastałem Ludwikę w objęciu innego! odrzekł mu stłumionym głosem.

— A ta krew na twoich sukniach?

— To krew tamtego...

— Coś ty zrobił?

— Zabiłem go.

— Okropność! Cóż uczynisz teraz, moje dziecko?

— Będę czekał aż przyjdą ci, co mnie ztąd powleką do więzienia...

— O, na to nie możesz czekać...

— Cóż więc mam czynić innego?

— Musisz uciekać, uciekać jaknajdalej.

— Dokąd?

— Mniejsza o to dokąd; uciekaj, uciekaj tylko, za granicę, do innej części świata, na drugą półkulę, uciekaj póty, póki nie będziesz bezpiecznym...

— Wszystko mi już jedno, ojcze!

— Ale mnie nie wszystko jedno, mój ukochany synu...

— Przebacz, drogi mój ojcze, nie pomyślałem o tobie. Dobrze więc, ucieknę. Niech mi osiodłają konia, bo ten, na którym tu przyjechałem, tylko pięć minut biegł, ale dziesięciu jużby nie wytrzymał.

Jan w niemej rozpaczy słuchał tej rozmowy — teraz wybiegł pospiesznie, by osiodłać konia.

— O, mój Bélo, mój najdroższy, powiedz, jak się to stało, jak się stać mogło?

— Wszedłem do Ludwiki i znalazłem ją w objęciach — tym innym był Deregi... alboż ja wiem, jakim sposobem nóż znalazł się w mojem ręku? po-

chwyciłem go i wepchnąłem mu w serce. I Ludwikę nie byłby tenże sam los minął, ale padła przedemną na kolana i błagała: Miłosierdzia, Bélo, ja jestem niewinną, ja ciebie kochałam, ciebie jedynie — miłosierdzia!... com robiła, robiłam zmuszona, pod wpływem okropnego przymusu, Bélo. Ojciec mój powiedział, że muszę kochać tego człowieka, lub przynajmniej zezwolić na jego miłość. Ja go nienawidzę, brzydzę się nim. Gdyś wszedł, on właśnie przemocą, pochwycił mnie w swoje objęcia, mówił, że mnie kupił od mego ojca; że ojciec jemu mnie zaprzedał... a mój ojciec stał obok i wciąż szeptał mi w ucho, że całe jego szczęście, cała przyszłość zależy od tego, bym... — Ha, dobrze, więc ojca twego zabiję, gdzie on? zawołałem wpół obłąkany... — Ty nie znasz mego ojca, odpowiedziała mi Ludwika. Ten, który mnie wychował, przyjął za swe dziecko, to nie mój ojciec, to daleki krewny mojej matki... ale uciekaj ztąd, Bélo, uciekaj, niech cię tutaj nie zastaną, ratuj się!... mówiła to z bolesnem łkaniem, z rozpaczą w głosie, wysłuchałem wszystkiego i jestem tutaj...

Tak kończył syn mój.

— Koń już osiodłany, wymówił Jan, wchodząc.

— Zabierz te pieniądze, mój drogi synu, wystarczą ci zanim mnie nie uwiadomisz o miejscu twego pobytu, wystarczą, choćbyś przez lat kilka nie mógł mnie uwiadomić.

— A więc, mój ojczy, mój najukochańszy, dobry mój ojczy. .

Nie mógł mówić więcej, z płaczem pochylił głowę na moje ramię, jam moją przycisnął do jego czoła.

— Choć to ciężko, ale nie trzeba zwlekać ani chwili napominał Jan mego syna.

Rozstaliśmy się... raz jeszcze uściskał mi rękę, Béla... potem podał ją Janowi, który tak był bladym jak ja... i wyszedł z pokoju.

U drzwi zastąpili mu drogę pachołcy sądowi.

Stary Deregi poprzysiągł, że mordercę swego syna wyda w ręce sprawiedliwości i dopiął tego celu, bo jestże cel niedościgły dla bogacza?

Deregi był znacznie bogatszym odemnie.

Syn mój skazany został na powieszenie.

Ostatnią noc jego życia spędziłem u niego — w więzieniu.

Jeśli macie ojca, co miał tak piękne, tak doskonałe, tak szlachetne dziecko, jak pięknym, doskonałym i szlachetnym był syn mój, ojca, co z dzieckiem takim spędza noc przedśmiertną w więzieniu: idźcie do niego i spytajcie go, czy jest na świecie męczarnia, większa niż śmierć Zbawiciela, większa niż cierpienia męczenników, męczarnia, której nie uspi nawet wiekuiste zagrobowe szczęście?... a dowiecie się, że ono istnieje.

Wieczorem, niepostrzeżony, przemykałem się pod murami więzienia, czekając, aż się rozproszy tłum gapiącego się ludu, co ma wszystko, prócz serca, co łaknie wszelkiego widoku wstrząsającego nerwy, ale po nad wszystko widoku ofiar przeznaczonych na śmierć.... zarówno bydła, które wiodą na rzeź, jak człowieka, co pod ręką kata ginie na rusztowaniu.

Nakoniec rozeszli się do domów, po to prawdopodobnie, by nocą śnić o wspaniałem widowisku, które

im przyniesie z sobą dzień jutrzejszy; wyszedłem z kąta, w którym dotąd czekałem ukryty i wszedłem do mego syna. Jan był u niego, modlił się i płakał... syn mój pocieszał go. On go pocieszał!

W milczeniu pochwyciłem jego rękę, bo i cóż mógłbym ja mu powiedzieć?—może: „dobry wieczór”.

Usiadłem obok niego. Głowa opadła mi na piersi, niby kłos dojrzały... a, głowa moja była też istotnie kłosem, pełnym dojrzałego ziarna potępienia.

— Czemuż się smucisz, mój ojczy kochany? począł syn mój, raczej cieszyć byś się powinien, że opuszczam ten świat nędzny, wstrętny.

— Ale tak go opuszczać, moje dziecko!

— Tak? nie jestże to najzupełniej w porządku?.. Chwastom pozwalają wzrastać, rozpleniać się, dopóki same nie uwiędną na polu; ale pszenicę zrzynają. Taką jest sprawiedliwość ziemi. Ja mogę to powiedzieć o sobie z całą szczerością, z zupełnem prawem, że ile łez z serca bliźnich wycisnął Deregi, tylem ja ich osuszył; zabiłem jego, więc muszę umrzeć, bo tu jedynem prawem: śmierć za śmierć, życie za życie; a nikt nie pyta, jakie życie za jakie życie?...

Béla zamilkł, a ja nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nastąpiła cisza; słuchałem kroków straży, co przechodziła tam i napowrót podedrzawiami więziennej sali i gorzkiego łkania pocziwego Jana. Tak przeszła nam noc. Więcej milczeliśmy niż rozmawiali. Świeca, co stała na stole, ściemniała się, Béla ją objaśniał po kilkakroć.

— Jak ci też przychodzi na myśl objaśniać teraz świecę?

— Chciałbym wyraźnie widzieć twe rysy, ukochany mój ojcze, bo niedługo już je oglądać będę, a potem nigdy, nigdy już ich nie zobaczę. Nie wierzę, byśmy żyli po za grobem jeszcze; zagrobowe życie niemniej przecież jest życiem, a człowiek chyba tak bardzo zgrzeszyć nie może, by go Bóg dwukrotnem życiem karał. Majątek nasz nie dał mi szczęścia, coś mi znaczyło to, że jadł u suto zastawionych stołów? gdym wiedział, że tylu mych współbraci marło głodem! Gdym dopomagał tym niewielu, którym pomódz mogłem, tem bardziej bolała mnie myśl, że nieskończenie więcej cierpi nędzę w tymże samym czasie. Czemuż bo nie mamy jednego oka, a natomiast dwóch serc? widzielibyśmy wówczas połowę tylko nędzy ludzkiej, a więcejbyśmy ją czuli, współboleli głębiej... Znasz mnie dobrze, drogi mój ojcze, aleś nie widział nigdy onej rosy niebios, co z oczu moich padała na kwiaty mej młodości; o, mój ojcze, twarzy, którą tak gorzkie łzy oblewały, nie odmieni już i pot śmiertelny. Mnie śmierć nie przeraża, ja się jej nie ulęknię. Odważnie wstąpię na rusztowanie, gdzie mnie już poprzedziło i tylu niewinniejszych odemnie. Nie należę ja do bohaterów, ale czuję, że gdybym był żył dłużej, nie powstydzilby się mnie być Stwórca, jak się nieraz wstydzić musi tylu. Za kilka godzin umrę; ale tem lepiej, że umrę teraz. Dziś, ty jeden, ojcze, co najwięcej dwóch nas, może troje, będziecie mnie opłakiwać; gdybym był żył dłużej, może opłakiwałoby mnie wielu, a sama myśl ta, jużby mnie bolała, bo ty wiesz, ojcze, jak bardzo nie lubiłem innym łez wyciskać.

Tak mówił syn mój, dopóki brzask dnia nie przypomniiał nam, że trzeba się rozstać, rozstać na wieki! Zbudziłem Jana, który w płaczu zasnął przy nas, jak dziecko.

— To pożegnanie... ah! ja go nie opiszę.

Poszliśmy do domu.

Okna wychodzące na ulicę kazałem założyć kamieniami, by nic nie słyszeć, nic nie widzieć; wtedy miano prowadzić mego syna.

Upadłem w szezlong... nie myślałem już o tem, że mają tracić moje dziecko; myślałem tylko, że prorocy na dzień dzisiejszy przepowiedzieli świata koniec i nieruchomie oczekiwałem tej chwili, w której świat cały runie w nicość!

Naraz jakiś gwar dobiegł mego ucha... turkot wozów... tentent koni... wycie tłumów...

Nagle porwałem się z mego siedzenia i wcisnąłem w najoddalniejszy kącik domu, zatykając sobie uszy..., daremnie... słyszałem wszystko!

A może zdawało mi się tylko, że to słyszał?

Zwolna słabnął łoskot i gwar uliczny, wreszcie ustał zupełnie. Odjąłem od uszu mych ręce... zbliżyłem się do ściany, dotykającej ulicy i nastawiłem ucha...

Najmniejszego szelestu.

Jan siedział w krześle z głową w obu dłoniach.

— Pomyśl-no, jakie śmieszne przywidzenie! Mara, nie więcej! Wyobrażałem sobie, że Bélé miano prowadzić na szubienicę i zdawało mi się nawet, że słyszał wrzawę przechodzącego orszaku...

— To nie przewidzenie, odpowiedział Jan, to prawda najzupełniejsza; i wrzawę nawet mogłeś pan słyszeć, bo go przed chwilą tędy prowadzono właśnie.

— Kogo!

— Panicza.

— Mego syna?

— Jego, jego niestety!...

— Nikczemniku, jak ty śmiesz tak go spotwarzać. Jeśli wierzysz w Boga, cofnij coś powiedział! Cóż ci przyjdzie z tego, że mnie pozbawisz rozumu!

— Uspokój się, kochany, dobry mój panie! błagał Jan.

— Powiedz więc, żeś skłamał, uspokój mnie.

— Gdybym to mógł powiedzieć...

— A więc to prawda, rzeczywiście? ha, a my tchórze siedzimy tu spokojnie, miasto biedz na jego ratunek!

— Dla niego niema już ratunku, niema ocalenia...

— Niema? Aleć ja go bądź co bądź, ocale, ja go muszę wyrwać z rąk kata!...

— Nie dostaniesz się pan do niego.

— Czemu?

— Bo tysiące, tysiące go otacza....

— A więc klątwa tym ludzi tysiącom, co mi bronią do niego przystępu i klątwa tysiącznemu ich pokoleniu!... bodajby wszyscy taż samą śmiercią pomarli, której teraz przyglądają się tak ciekawie; niechaj przepadają, niechaj giną... Amen.

Byłbym upadł, gdyby mnie Jan nie podtrzymał.

— Mój przyjacielu jedyny, mówiłem dalej, czyś ty był już kiedy na górze, pod strychem?

— Byłem...

— Możnaż ztamtąd dojrzeć szubienicę?

— Co pan chce?

— Można ztamtąd widzieć szubienicę? odpowiadaj, nie pytaj o nic.

— Tak...

— Tak, więc idę tam...

— I?

— Chcę zobaczyć, czy to, o czym mówimy teraz, jest snem... bo i teraz jeszcze wierzę, że to sen chyba...

Pobiegłem na górę, pospiesznie rzuciłem się do okna i wyjrzałem... nie zobaczyłem nic, bo wcho-dzące słońce wprost rzucało właśnie pierwsze swe promienie olśniewając, oślepiając... przyłożyłem rękę do oczu... i zobaczyłem... jak kat zakładał stryczek synowi memu na szyję.

XXIII.

Noc była, taka noc burzliwa, ciemna, jak pogod-nym był poranek.

— Chodźmy przyjacielu, mówiłem do Jana.

— Pozostań pan, odpowiedział mi, my to już załatwimy sami...

— Nie, Janie, do tej świętej pracy, nikt prócz nas dwóch nie powinien przyłożyć ręki. Chodź!

I poszliśmy, by pogrześć mego syna.

Ciemno było straszliwie. Wicher świszczwał i szu-miał. Deszcz lał strumieniami. Ulice były puste... Któż-bo miałby ochotę na taki czas wychodzić?

każdy chroni się pod dach... pod gołem niebem w noc taką, bywa chyba wisielec, lub ci, co idą go grzebać... co idą zdjąć go z wysokości hańbiącej i pogrzebać jak najgłębiej w matkę ziemię, gdzie go już spojrzenia współbraci nie osiągną. Szedłem z Janem. Całą musieliśmy zebrać siłę, by wpośród szalejącej burzy wciąż iść naprzód.

Szliśmy długo; gdyśmy przybyli wreszcie na miejsce, deszcz nagle ustał, chmury rozeszły się, a poprzez ich rąbki wyrzał księżyc i znowu osłonił się zwojami obłoków... wichur szalał przecież i huczał i hasał jak poprzednio, więcej może nawet. Wichur szumiał, wył i kołysał mojem dzieckiem, jedynem mojem dzieckiem. Gdy doń przystąpił, ucałowałem najprzód zimne obnażone jego stopy, z których pacholek kata zdarł obuwie.

A było to na tem samym miejscu, na którem przed laty, zranił mnie Ternyei w pojedynku.

Z pomocą Jana zdjąłem mego syna... a zdejmowałem tak ostrożnie, tak delikatnie, jakbym się lękał, że go każde silniejsze dotknięcie zabołec może; tak delikatnie, jak się obchodzi matka z chorą maleńką dzieciną. Właśnie, gdyśmy go zdjęli i ułożyli na ziemi, księżyc wychylił się z obłoków i oblał nas strugą swego światła. Tam on leżał martwy, skostniały, z twarzą siną, oczyma wybiegłemi na wierzch, wywieszonym językiem i stryczkiem w około szyi — on, co wczoraj jeszcze był adonisem pośród rówieśników, którego kobiety zwały Apollinem. Zdjąłem sznur z jego szyi i ucałowałem czarne kręgi, które na niej

pozostawił. Sądziłem, że moje pocałunki zetrą zeń ślady stryczka i że syn mój pod ich ciepłem ożyje.

Nie żył.

Odgarnąłem mu cudne jego czarne włosy z wysokiego czoła, te włosy, które deszcz przemoczył, a wichur poplątał i mówiłem: ożyj, ożyj, jedyna moja pociecho!

Ale nie ożył.

Tylko oczy jego rozwarłe zdały się poglądać na mnie nieruchomie, bezmyślnie, tylko język zda się więcej jeszcze z ust się wysunął.

Wziąłem go na barki i poniosłem na cmentarz. Kto raz w życiu niósł tak straszliwy ciężar na swych barkach, ten wie już, jak świat jest ciężki... mnie się zdało, że m dźwigał świat cały.

— Ah! zawołałem tak idąc, nie zostawmyż tam przynajmniej stryczka.

— Nie, panie, odpowiedział mi Jan, już go pan schowałeś.

— Dobrze — i szliśmy dalej w milczeniu.

A stało się to właśnie na tem samem miejscu, gdzie przed dwudziestu dwu laty odkopałem z ziemi ukochaną moją Różę.

Miasto dowiedziało się niebawem, że ów złoczyńca, którego powieszono, dostał się na cmentarz; w poświęconą ziemię, kędy jest miejsce tylko dla uczciwych (!) ludzi i chciało kości jego wyrzucić z tego uczciwych spoczynku.

Jam uprzedził miasto, sam kazałem odkopać zwłoki mego syna i zabrałem je z sobą daleko, daleko...

biedny syn mój! i w śmierci nie znalazł jeszcze spokoju!

Ale teraz nic mu już nie mać odpocznienia.

Wpośród olbrzymiego lasu jest mała dolinka. Na wierzchołkach gór, co dokoła ujęły tę polanę, szumią sosny nieprzerwanie, bo z nich burze wyruszają na bitwy i po skończonych powracają w nie znowu... niby do legowiska... W dolinie natomiast jest spokój, absolutna cisza, ptaki tylko, śpiewnicy, wiodą rozhovor z toczącym się z gór ruczajem. W samym środku doliny wycięte są sosny, a na ich miejscu wznosi się olbrzymia biała kolumna, kosztująca pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Na niej krótki napis:

M ó j s y n.

XXIV.

Po północy wróciłem z pogrzebu mego syna do domu. Ten dzień tak był dla mnie ciężkim, jakiego chyba od stworzenia świata aż po jego koniec, nikt z ludu nie zaznał i nie zazna. Znużony, wyczerpany na ciele i duchu, upadłem bezwładny na łożo, by zasnąć lub umrzeć. Nie umarłem i zasnąć nie mogłem. Niby w panoramie straszliwego jakiegoś pendzla obrazy, przeciągały przed moją duszą okropne zdarzenia dnia dzisiejszego, więcej, całego życia zdarzenia. Wreszcie, gdy już dniało, poczęły blednąć widma mych wspomnień... coraz to grubszą mgłą się otaczały... jeszcze niewyraźnie widział ich kontury... nakoniec, snem przymknęły mi się oczy, nagle

usłyszałem głośne stukanie do mego okna, a wraz z niem te słowa:

— Macieju Andorlaki! Czy poznajesz mój głos? Dawnoś go już nie słyszał. Ja to jestem owym żebrakiem, owym nędzarzem, którego córkę syn twój pokochał i który zmusił tę córkę, by go doprowadziła do rozpacz; ja to jestem owym żebrakiem, któremu tyś wydarł majątek. Ja to jestem Baltazarem Ternyei. Macieju Andorlaki, ty mnie zrobiłeś żebrakiem... jam twego syna pchnął na szubienicę!

XXV.

Stało się to przed dwudziestu sześciu laty, gdym ja miał lat czterdzieści cztery. Teraz zaś mam ich siedmdziesiąt i kto wie, czy tyleż włosów jest na mojej głowie. Te lat dwadzieścia sześć spędziłem na pustyni obok grobu mego syna, w chatce, którą wystawiliśmy sobie z Janem, od owego czasu niewielu ludzi widziałem i mnie mało kto widział, a ci, co mnie widzieli lub widują, nie wiedzą kim byłem, jakie w świecie zajmowałem stanowisko.

Gdym opuszczał miasto, świat, duch mój tak był bezwładnym, że nie dawał najmniejszego znaku życia; największym dowodem jego bezwładności było, że go nawet owe słowa Ternyei'ego nie zdołały wstrząsnąć, nie zdołały na chwilę nawet wytrącić z apatii. Nie wiedziałem kto to był ów Ternyei, czy był jaki Ternyei na świecie, czy świat istniał w ogóle? Nie wiedziałem, co było na niem... to

wiedziałem tylko, czego na nim nie było: mego syna.

Sprzedalem wszystko, com posiadał i tak powiedziałem Janowi:

— Mój przyjacielu, życie moje już skończone najzupełniej, zostałem jak to drzewo, z którego wszystkie liście opadły, prócz jednego, co pozostał jeszcze... to ty; ale i ty opadnąć musisz, bo cóż słuszniesze nad to, by zimą drzewo świeciło nagimi konary. Musimy się rozstać, mój przyjacielu. Ja wśród ludzi zostać nie mogę, wśród tych ludzi, co z zimną krwią przyglądali się haniebnej śmierci mego dziecka; ty zaś nie możesz razem ze mną ztąd odejść, bo nie chciałbym, byś dla mnie miał się skazać na wygnanie ze świata, gdzie cię czekać może jeszcze niejedna szczęścia chwila.

— Jakiegoż szczęścia ja mógłbym się jeszcze spodziewać? odpowiedział Jan, jakiegoż szczęścia mógłbym doznać zdala od pana? czyż miałem dotąd inną radość, inne szczęście nad wspólne z panem życie? nad to, żem mógł pańską dzielić dolę? A dziś, gdy pan już nie ma na całym szerokim świecie nikogo, dziś ja miałbym pana opuścić?—nie, nigdy! Możesz pan mnie odpędzić od siebie, chłostą przymusić do ucieczki, ja zawsze powrócę, jak ów pies najwierniejszy; a skoro pan umrzesz, siadę na pańskim grobie i póty ztamtąd nie odejdę, póki się nie doczekam głodowej śmierci, która mnie zwolni z tego posterunku.

Jan wraz ze mną opuścił miasto. Zdjąłem strojne szaty i przywdziałem ubiór nędzny; tak puszcziliśmy się

w drogę, zabierając z sobą moje krocie. Ten pieniądz, myślałem sobie, który zbierałem dla mego syna, nikogo nie zbogaci, nikt go nie będzie używał! zakopię go w głębi lasów. Gdyśmy doszli do doliny, gdzie stał pomnik grobowy mego syna, gdy zobaczyłem jego grobowiec, poczęły się nagle ożywiać snem spowite kamienne mumie mych wspomnień.

Nie modliłem się od czasów mej młodości... tu padłem mimowiednie, mimowolnie na kolana, złożyłem ręce, spojrzałem w niebo i błagalną wzniosłem modlitwę:

— „Boże! daj mi żyć tak długo, dopóki nie pomuszę śmierci mego syna!”

I to było odtąd codzienną moją modlitwą... przez lat dwadzieścia sześć — codzienną! Tam odmawiałem ją co dnia u stóp kolumny na klęczkach, z twarzą przyciśniętą do ziemi, zimą i latem, w pogodę czy słotę. Żadna droga nie prowadziła przez tę puszcę, nigdy żaden nie zajrzał tu człowiek. Jan tylko i ja byliśmy jedynymi jej mieszkańcami. Często mówiliśmy o przeszłości, o owej przeszłości, w której było nas czterech: syn mój, Hiripi, on i ja; potem rozmowa nasza zwracała się do teraźniejszości, gdzie nas już dwóch tylko zostało.

— Może niezadługo pozostanie już tylko jeden a wreszcie i żaden z nas na ziemi nie zostanie, mówiłem i wówczas zamyślaliśmy się obaj i milkli.

Żywność z najbliższej wioski przynosiliśmy sobie kolejno, raz on, drugi raz ja znown. Nie mieliśmy wiele zajęcia, ale trud wszelki wspólnieśmy ponosili. Żaden z nas nie był już panem, żaden służącym.

Od czasu do czasu chodziłem do miasta, gdzie większa część życia mego ubiegła, a gdzie dziś nikt mnie już nie znał. Z wielkim trudem udało mi się dowiedzieć czegośkolwiek o Ternyei'm i jego rodzinie. Żona Ternyei'ego i jedno z jego dzieci, dawno już umarły; Ludwika, narzeczona mego syna, przez kilka tygodni opłakiwała jego stratę, a po kilku miesiącach zaślubiła syna owego biednego tkacza, który ją za własne przyjął był dziecko. Z tego małżeństwa urodził się Ternyei'emu, o którym nic nie wiadano, wnuczek. Wnuczek ten uczył się rzemiosła.

Tak przeżyliśmy lata w leśnej samotni.

Było to skwarne letnie popołudnie. W dolinie było parno, jakby wszystkie słońca promienie na nią się skoncentrowały wyłącznie. W dali gdzieś ledwie dosłyszalnej, od chwili do chwili grzmiało, a grzmot ten coraz, coraz to więcej się zbliżał. Nakoniec zaciemniło się zupełnie, niemal nastąpiła nocy ciemność... dolinę spowiły chmury czarnym całunem, ukryły przed błękitnym niebios okiem. Burza wybuchła. Piorun po piorunie przerzywał chmur sklepienie i drgał tysiącem ogni w powietrzu, zdało się, że gromy rozsadzić chcą skały, zdruzgotać i strącić z wysokości w dolinę, by ją zagrzebać zupełnie; deszcz płynął z nieba strumieniami, jakby chciał zmyć nawet to miejsce kędy leżała ona dolina, w pośrodku której, grobowiec mego syna się wznosił.

Ja byłem sam w naszej chacie — i niespokojny oczekiwałem Jana, który na kilka godzin przed burzą, wyszedł był do wsi pobliskiej.

Nakonec drzwi się otwarły; ale nie Jan wszedł niemi, tylko człowiek, którego nie widziałem już od lat piętnastu, a którego przecież mimo to, poznałem od pierwszego rzutu oka, bom co dnia przez lat piętnaście z jego powodu błagał Niebios tak gorąco.

Był to Baltazar Ternyei.

Jego głowa nie była tak jak moja łysą zupełnie, ale gęste długie na niej włosy bieluteńkie były jak moja broda. Głowę mu okrywał kapelusz z szerokiem rondem, ciało — łachmany żebracze.

— Szukam schronienia przed burzą, dzień dobry! wyrzekł wchodząc.

— Schronienia? Chętnie udzielę je każdemu, tylko nie Baltazarowi Ternyei, odpowiedziałem.

— Znasz mnie?

— Maciej Andorlaki miałby nie znać Baltazara Ternyei!!

— Co Andorlaki?...

— Ten Andorlaki, co cię szukał od lat wielu i nie mógł na ślad twój trafić, a któremu ty sam dziś wpadasz w ręce, by śmierć znaleźć.

— A więc zbliż się, jeśli masz dość odwagi!... zawołał i wzniosł w górę wielki sękaty kij żebraczy.

Pochwyciłem z kąta izby inny większy jeszcze i rzuciłem się ku niemu. Wybiegł z chaty — ja za nim. Burza wciąż trwała. Grzmiało, błyskało się, potoki deszczu się lały i grom uderzał za gromem. Cóż to mnie obchodziło! jam gonił nieprzerwanie. Wielka złamana sosna, którą wichur wyrwał z korzeniem, a piorun zapalił, tamowała nam drogę. Stanęliśmy sobie oko w oko. Dwaj ludzie blisko sześćdziesię-

cioletni pochwycili się za bary... pośród najstraszliwszej burzy... w oświeceniu płomieni... Jam był silniejszy... zwyciężyłem... nogą stanąłem mu na pierśsiach... krwawa piana okryła mu usta...

— Godzina twej śmierci wybiła! zaręczałem, musisz umrzeć w płomieniach tego drzewa!

Nagle inna myśl mi zabłysła.

Co mu jest większą karą: śmierć czy życie!

Życie! tak życie. Pozwolę mu więc żyć. Niech żyje! Z piekielną radością puściłem Ternyei'ego, który leżał na ziemi, wił się i jęczał — krwawy, z wybitem okiem. Przyglądałem się z demoniczną rozkoszą jego męczarni.

— Baltazarze Ternyei, wyrzekłem, daruję ci życie, bo wiem, że ci ono większym niż śmierć ciężarem.

XXVI.

W rok później, umarł jedyny mój przyjaciel, który przez lat kilkanaście dzielił ze mną pustynną samotnię. Od lat dziesięciu żyję wśród tych lasów sam — sam jeden.

Wykopałem Janowi grób tuż obok grobu mego syna, tam on leży obok tego, którego niegdyś był tak szlachetnym opiekunem. A gdzie z czasem ja spocznę?... w tej chacie czy pod wolnem niebem — gdzie mnie śmierć doścignie... bo nie znajdzie się nikt, co by mię pochował. Ale mniejsza o to gdzie; w ziemi czy na jej powierzchni... ani tam, ani tutaj bić już me serce będzie, a to najważniejsza —

w tem całe me szczęście. O, to serce, to serce! Jak-
żebym rad móżdż je wyjąć sobie z piersi i obejrzeć,
jak też wygląda ten kawał ciała, który niegdyś za-
wierał w sobie całe światy szczęścia i potępienia,
a w którym dziś zamiast obu tych światów, połyska
blada, dogasająca gwiazdeczka... życie.

XXVII.

Często przychodziłem do miasta i dowiadywałem
się o rodzinę Ternyei'go; z rodziny jego nikt już nie
żył, prócz owego wnuka — rzemieślnika. Niecierpli-
wie czekałem, by dorósł; lata biegały i w niespeł-
na sześć lat po śmierci mego pocziwego Jana z chłop-
ca wyrósł on już w młodzieńca. Odszukałem go. Wy-
szedł do mnie z warsztatu, w którym pracował i po-
patrzył na mnie zdziwiony, co mogę chcieć od niego?

- Mój kochany, rzekłem, chodź ze mną.
- Dokąd? zapytał.
- Nie pytaj, chodź tylko.
- Daleko?
- Dość daleko.
- Na jak długi czas?
- Mniej więcej na dzień jeden.
- Tak, ale ja mam zajęcie.
- Odpocznij, odłóż trochę na bok pracę.
- Chciałbym przecież wiedzieć czemu?
- Dla twego szczęścia.
- Jakimż miałbym je nabyć sposobem?
- Łatwym niezmiernie.

— Któżto ma mi do niego dopomódz?

— Ja.

— Wy? ha, ha, ha!

— Czemuż się śmiejesz?

— Z was śmiać się muszę.

— Ze mnie! Ale mniejsza o to: chodź ze mną tylko, jeśli chcesz zostać szczęśliwym, bogatym.

— Któżby nie chciał nim zostać?... jeśli jednak wy mnie zwodzicie!

— Cóżby mi z tego przyszło? A jak widzisz, nie jestem dzieckiem, żeby się bawić w zwodzenia.

— Tak, to prawda.

— A więc zaufaj mi.

— Twarz wasza, co prawda, nie budzi zbytnio ufności, ale w Imię Boże! Słowa wasze tak są piękne, że się im oprzeć nie mogę.

I poszedł ze mną w dolinkę, leżącą w lasów głębi.

— Co to jest? spytał zobaczywszy grobowiec mego syna.

— Przeczytaj napis, to będziesz wiedział.

— „Mój syn...” Wasz syn?

— Tak, mój syn, którego dziad twój, mój kochany chłopcze, wydał w ręce kata.

— Ah! zawołał przerażony, jakże u licha mogłem zaufać temu człowiekowi?... teraz niezawodnie chcecie pomścić się na mnie, nieprawdaż?... zabić mnie?...

— Uspokój się, uspokój; ja się chcę pomścić, ale nie morderstwem... pomszczę się w sposób szlachetniejszy. Wejdz do chaty i nie lękaj się niczego. Chodźże!

Drżący wszedł do chaty.

- Cóż mam czynić? spytał.
- Weź rydel.
- A potem?
- Teraz kop tu, ot w tem miejscu, ziemię.
- Na co?
- Nie pytaj o nic. Czyn, co mówię. Zobaczysz już. Począł kopać. Kopał dość długo.
- A! dukaty! krzyknął naraz.
- Bierz je, wyjmuj wszystkie, wszystkie. Tak. Dobrze. Czy ty wiesz, ile ich jest?
- Nie wiem.
- Więcej niż sto tysięcy guldenów. Wiesz do kogo one należą?
- Nie wiem.
- Do ciebie.
- Do mnie?
- Wszystko to należy do ciebie.
- Wszystko?
- Dziwże się. Skoro się nieco oprzytomnisz, opowiem ci historię tych pieniędzy.
- Mów pan, mów!
- Czyś słyszał kiedy co o moim stosunku do twego dziada?
- Pan to więc jesteś Andorlaki?
- Ja.
- Słyszałem trochę, ale niewiele.
- Twój dziad i ja byliśmy przyjaciółmi. On dowiedział mi tem swej przyjaźni, że mi wydarł dziewczynę, którą kochałem, w chwili właśnie, gdym z nią wchodził na ślub do kościoła. Ja pomściłem się w ten sposób na nim, że mu zabrałem cały majątek, wy-

grany w karty. On za to popchnął syna mego na szubienicę, tego, który spoczywa pod tą kolumną... Teraz kolej zemsty na mnie przyszła i mszczę się też w ten sposób, że wnuka jego obdarzam temi pieniędzmi.

— Ah, panie, jakimż jesteś wspaniałomyślnym.

— Wspaniałomyślnym — niezupełnie. Połowa tego skarbu należała do twego dziada, słusznie więc należy się tobie. Drugą zaś połowę daję ci tak — jako procent.

— Jakże mam dziękować panu?

— Nie dla podziękci ci to dałem. Jakże? Czyś zadowolniony? Dość ci tych pieniędzy?

— Czym zadowolniony? czy mi ich dosyć? Alboż dotąd miałem kiedybądź nadzieję pozyskania choćby setnej części tego, ja, ubogi rzemieślnik?

— Ale pieniądz to rzecz dziwnie sliska; człowiek ani wie, kiedy mu gdzieś stopnieje. A ja chciałbym zapewnić ci przyszłość. Skoro więc to wydasz...

— O, jakżebym ja mógł tyle wydać, panie!

— No, ale gdybyś tak wydał... czekaj, przychodzi mi myśl. Nie oddam ci do rąk wszystkiego, bezpieczniej będzie, gdy część u mnie pozostanie. No, cóż czy byłbyś zadowolniony, gdybym ci dał teraz tylko pięćdziesiąt tysięcy?

— Choćby i mniej, panie; jak pan zechcesz, tak naturalnie ja postąpię.

— A więc masz tu pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Jeśli te ci wyjdą, przychodź tu śmiało, dam ci drugie tyle, lub dwa razy tyle, jak będę uważał. Nie mówię, byś miał stać się rozrzutnym, ale na Boga

nie skąp tylko, bo nie ma obrzydliwszej, brudniejszej przywary nad skąpstwo. Cóż więc najprzód zrobisz?

— Najprzód wyzwolę się na majstra i założę wielki warsztat...

— Nie bądźże śmiesznym. Tyle pieniędzy i warsztat! Na cóż u licha masz być rzemieślnikiem, skoro możesz być niezależnym, panem?

— Masz pan rację; ale rozum mój jakoś nie może się z tem zgodzić. Dobrze więc, będę panem .. potem ożenię się.

— To rozumnie. Wybrałeś już sobie żonę?

— O, już wybrałem... doskonała dziewczyna!

— Dobrze. Zeń się więc z nią. Małżeństwo, to wielkie szczęście.

— Ożenię się z nią, ożenię!

— Bóg z tobą, mój chłopcze. Jak powiedziałem już, gdyby ci wyszły pieniądze, przyjdź tylko do mnie, a dostaniesz ich więcej.

— Chodź ze mną, szlachetny mój dobroczyńco, zamieszkajmy razem.

— Ja odwykłem już od ludzi, a grób syna do tych miejsc mnie przykuwa, to też tutaj pozostanę... ale nie wyrzekam się tego, by cię od czasu do czasu odwiedzić.

— Czyż potrzebuję mówić, że w każdej chwili będziesz mi pożądanym gościem...

— Dobrze, już dobrze. Bądź szczęśliwym. Bywaj zdrów.

— Bóg z panem, Bóg z panem... dziękuję, dziękuję stokrotnie...

I odszedł.

— Czekaj! zawołałem za nim, czekaj. Nie mów nikomu z kąd masz pieniądze, nie mów, że ja istnieję... ludzie są źli, mogliby mnie tu znaleźć i zamordować dla pieniędzy, które mi pozostały jeszcze. Dla tego też milcz... własne two dobro tego wymaga. Teraz możesz już iść. Wiesz co? powiedz, żeś te pieniądze wygrał na loteryi, lub coś innego. No, Bóg z tobą...

Po upływie kilku miesięcy, poszedłem do swego pupila, wnuka Ternyei'ego. Mieszkanie jego było porządne, ale nie zbytckowne. Wszystko u niego dowodziło oszczędności. Nakryte było do wieczerzy, gdy tam wszedłem, on sam siedział u stołu czekając na potrawy. Zerwał się i pochwycił mnie w objęcia.

— Ah!... wujaszku, jak się miewasz? bo pozwól, żebym się nazywał wujaszkiem lub ojcem...

— Niechże będzie wujaszkiem, skoro już chcesz koniecznie wymyślić jakiś stopień pokrewieństwa. No, jakże ci się powodzi?... a, prawda, czy też wspominałeś komu o mnie?

— Nikomu, żona moja nic nie wie nawet...

— A więc ożeniłeś się!

— Przed miesiącem i jestem najszczęśliwszym z mężów.

— A gdzież jest twoja żona?

— W kuchni.

— Cóż ona tam robi?

— Przysposabia wieczerzę.

— Twoja żona przysposabia wieczerzę?

— Tak.

— Ależ nieszczęsny człowieku! A więc ty nie trzymasz kucharki lub kucharza?

— Moja żona, jak ja, pochodzi z ubogiej rodziny, nawykła do pracy i gospodarzymy oboje jak umiemy...

— Niesłychane! Alboż ci nie powiedziałem, żebyś raczej był wszystkim nie kutwą. Bożeż Ty mój! A to mieszkanie... niezłe oko, to prawda, ale zawsze nie takie, jakie przystałoby dla takiego jak ty majątnego człowieka. Zresztą, niegorzej to na początek, nagle wzbogacenie się twoje bowiem, nie kłuje tak ludzi w oczy; ale opuść to mieszkanie jak można najprędzej... wynajmij sobie inne piękniejsze, wspanialsze i przyjmij służbę, pamiętaj, raz przecie pocznij być panem. Myślałem, żeś już wydał zabrane pieniądze i przyniosłem ci drugie pięćdziesiąt tysięcy guldeuów...

— Dziękuję ci, kochany wujaszku, ale dotąd mi ich niepotrzeba jeszcze.

— Mniejsza o to. Skoro je wszakże już przyniosłem, pozostaną tutaj, zabierz je, proszę.

I oddałem mu tę sumę.

Drzwi otwarły się, weszła żona mego pupila... przyjemna, miłutka, łagodna blondyneczka. Przedstawiono mnie jako dalekiego krewnego. Zjadłem z nimi wieczerzę, potem ich opuściłem. Młody człowiek odprowadził mnie do bramy.

— Zdawało mi się, — mówiłem, zatrzymując się na dziedzińcu, zdawało mi się, że twoja żona ma do mnie jakąś antypatyę, przez cały wieczór zaledwie

na mnie spojrzała, a gdy mówiła do mnie, znać było, że to przymuszona grzeczność — nie szczerza.

— O, nie myśl tak, wujaszku, tłumaczył żonę, nie myśl tak, to bojaźliwość tylko, a nie antypatya... moja żona, to takie nieśmiałe stworzenie, jak wszystkie zazwyczaj młode mężatki...

— A choćby i tak było nawet, jak sędzę. Główną rzeczą jest, by cię kochała...

— A ona mnie kocha! zawołał młody człowiek, ona mnie kocha niewymownie, kochany mój wujaszku.

— Widziałem to, drogi mój chłopcze, widziałem, poznać to można z każdego jej spojrzenia, z każdego słowa.

— Szczęście to zaś zawdzięczam tobie, wujaszku, bo bez twojej pomocy, Bóg wie, kiedy byłbym się mógł ożenić.

— Ja zaś cieszę się z całego serca, kochany mój chłopcze, żem mógł się przyczynić do twego szczęścia, cieszę się z serca... bo i jakże nie miałbym się cieszyć? toż częśćka tego szczęścia, którem obdarzamy innych, nam samym zawsze przypada. Teraz muszę już odejść. Bywaj zdrów. A więc pamiętaj, opuść to mieszkanie, weź sobie stosowniejsze, przyjmij służących i pocznij wreszcie żyć na wyższej stopie.

— Jak każesz tylko, wujaszku!

.....

Gdym następnym razem odwiedzał wnuka Terneyi'ego, wszedłem do niego przez rząd wspaniałych pokoi.

Piękne meble, liczna służba.

— Wreszcie, stajesz się przecie człowiekiem światowym, kochany mój chłopcze; mówiłem, witając go, usłuchałeś mnie. I jakże się też czujesz pośród tego nowego życia?

— Wszystko byłoby dobrze, wujaszku, odpowiedział, ale przyznać ci się muszę, że mnie trochę to próżniacze życie nudzi, bom jako rzemieślnik przywykł do bezustannej pracy. Z początku smakowała mi ta bezczynność, ale teraz, codzień więcej mi ciąży.

— Nieradny człowieku! zawołałem, nudzić się, mając taki majątek! Bogatemu dość jest obejrzeć się, a ze wszech stron nastęcza mu się tysiące rozrywek i przyjemności wszelakich.

— Probowałem już tego i owego... ale zarzuciłem wkrótce każdą z tych rozrywek, bo niedługo sprawiają one przyjemność.

— Czy grywasz w karty?

— Nie.

— A więc spróbuj grać w karty. To rozrywka niewinna, a przytem taka, która zamiast nas nudzić, coraz nam się bardziej podoba.

— Ale jeśli przegram?

— Wygrasz drugim razem.

— A gdybym stracił bardzo wiele?

— To przyjedź do mnie; tyle stracić przecież prędko nie możesz, ile możesz dostać odemnie. Zresztą, trwożliwi gracze przegrywają tylko. Jeżeli do czego, to do gry właśnie, da się zastosować przysłowie: że odważnym tylko sprzyja fortuna.

.....

I wnuk Ternyei'ego począł grać, a niebawem stał się równie namiętnym, acz nie równie szczęśliwym graczem jak dziadek, zanim cały jego majątek przeszedł do mnie. Po kilku miesiącach, przyszedł do mnie zrozpaczony; miał już jedno dziecko, spodziewał się drugiego... a tu przegrał całe swe mienie. Roześmiałem się głośno i dałem mu nową sumę równie wielką jak poprzednio. Teraz wszakże kazałem mu kopać nie w chacie już, ale w lesie pod skałą, powiedziałem mu, że dla większej pewności pozakopywałem skarb mój nie w jednym miejscu... by w razie odkrycia jakiejś części pozostała mi reszta. Na dzień przed owym, w którym zacząłem pisać te stronicę, przyszedł wnuk Ternyei'ego po raz ostatni do mnie, jeszcze więcej zrozpaczony niż zwykle.

— Czegóż się znów tak smucisz, mój kochany, spytałem go.

— Znowu wszystko straciłem, westchnął.

— I to całe zmartwienie! Dzieciństwo!

— Jeszcze inna rzecz przyczyniła się do tego. Mój biedny dziadek przyszedł przed kilku tygodniami do mnie w najokropniejszej nędzy — o, podobnej nędzy nie sposób sobie wyobrazić! — i umarł mi kilka dni temu.

— Co? zawołałem, twój dziadek umarł?

— Tak.

— Ha!... Pokój jego popiołom. Pokój jego popiołom... a więc przegrałeś cały majątek?

— Cały!

— No, to nic nie szkodzi; zaraz ci powiem, gdzie znajdziesz sumę, która postawi cię znów w dawnym położeniu. Ileż masz teraz dzieci?

— Dwoje.

— Czy je kochasz?

— Niewymownie!

— A one ciebie?

— O, i one mnie również!

— A żona?

— Żyje wyłącznie dla mnie i dzieci, poczciwa, zająca kobieta!

— No, proszę... proszę... a więc twój dziadek umarł, biedny staruszek, gdzież leży pochowany?

— Na naszym cmentarzu.

— W której stronie?

Tuż koło bramy, bo cmentarz już niemal pełen zupełnie.

— Szczęśliwy, że odpoczął wreszcie. Namęczył się też biedak niemało. Czekałże, zaraz ci powiem, gdzie znajdziesz pieniądze. Zarazem wszakże muszę dodać, że będzie to największa suma, ale i ostatnia już, niestety. Więcej już nie posiadam, alem ją też schował dobrze, w takie miejsce, gdzieby się nikt skarbu nie mógł spodziewać, bo, muszę to wyznać, bardzo mi chodziło o to, by on w obce nie dostał się ręce.

— Gdzież więc mam go szukać, kochany wujaszku?... teraz tak się już rządzić będę, żeby mi te pieniądze wystarczyły do samej śmierci...

— Wystarczą ci one aż do dnia śmierci niezawodnie; nie troszcz się. O krok od szubienicy na północo-wschód... dwie stopy tylko pod powierzchnią ziemi.

— O krok od szubienicy?

— Tak jest, tam; zrozumiej mnie dobrze na północno-wschodniej stronie szubienicy, dwie stopy pod powierzchnią ziemi...

— Rozumiem. Raz jeszcze dzięki, gorące dzięki, składam ci wujaszku, za twą wspaniałomyślność... Dziękuję...

— Ależ to przyjemność dla mnie, mój chłopcze kochany!...

Odszedł.

Ja szedłem za nim zdala śledząc jego kroki, tak wszakże, że mu nie dostrzegł. Dobry kawał od szubienicy, ukryłem się w zaroślach. On poszedł do miasta, jak się spodziewałem, po rydel. Gdy się zciemniło, spostrzegłem, że nadchodził... doszedł do szubienicy... począł kopać. Nakoniec sięgnął do dołu, coś z niego wyjął i upadł na ziemię. Wkrótce potem zbudził się z omdlenia... obejrzał się dokoła... począł biedz... stanął nagle... znów upadł... i pobiegł znowu. Trwało to więcej niż dwie godziny. Noc była jasna, gwiazdzista; księżyc jednak nie świecił, więc nie mogłem dokładnie widzieć rysów jego twarzy. Z ruchów tylko domyślałem się najokropniejszej rozpacz.

Sen zmorzył mnie. Padłem na ziemię i zasnąłem.

Skorom się nazajutrz obudził, wschodziło właśnie słońce na skraju widnokręgu.

Był to ranek równie piękny, słoneczny pogodny, jak przed dwudziestu sześciu laty, gdy mego syna wieszano.

Spojrzałem na szubienicę...

Trup jakiś zawisł na niej...

Wnuk Terayei'ego...

Sam się powiesił na tymże samym stryczku, który znalazł w miejscu spodziewanych skarbów, a który ja zakopałem tam był dawniej.

Drogą spostrzegłem przechodzących ludzi; skinąłem na nich, by przyszli.

Nadeszli i zdjęli z szubienicy samobójcę.

Stryczek zabrałem z sobą i oddaliłem się.

Potem poszedłem na cmentarz, na którym leżała Róża, ale nie poszedłem na grób Róży, tylko stanąłem u mogiły Ternyei'ego i zawołałem:

— „Baltazarze Ternyei, czy słyszysz głos mój? posłuchaj mnie, to ja, Maciej Andorlaki.. Tyś mi syna wydał na śmierć haniebną; przez ciebie zginął z ręki kata na szubienicy; jam sprawił, że wnuk twój sam dobrowolnie powiesił się na tej samej szubienicy, na której syn mój wisiał... tymże samym stryczkiem, który ci tu składał na grobie!”

K O N I E C.



uiszczać się mającej prenumeraty. Każdy tomik złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku, szesnastki wyraźnym bourgeoisem zadrukowanej, na dobrym papierze, kosztuje w Warszawie i we wszystkich agenturach księgarskich:


Dwanaście kopiejek srebrem,

a z przesyłką pocztową *piętnaście kopiejek*. — Dla uniknienia jednak pomyłek przy przesyłce pieniędzy z prowincyi, zamówienia tylko na kolejne tomiki przyjmować będziemy: to znaczy: nadsyłający rs. 1 kop. 50 otrzymają dziesięć z rzędu wydanych tomików rs. 3 (po 50-tym) — dwadzieścia i t. d.

W Y S Z Ł Y:

1. Goszczyński S. Oda.
2. Heine H. Obrazy z podróży (Harz).
3. Börne Ludwik. Wybór szkiców.
4. Goszczyński S. Zamek Kaniowski.
5. Macaulay. Szkice krytyczne.
6. Musset Alfred. Karmozyna.
7. Wiljam Szekspir. Zimowa Powieść.
8. Henryk Heine. Obrazy z podróży.
9. Börne Lud. Wybór szkiców t. II.
10. A. Chamisso. Historia Piotra Schlemihl'a.
11. Henryk Heine. Obrazy z podróży.
12. Mark Twain. Humoreski tom I.
13. Petöfi. Wybór poezyj.
14. Henryk Heine. Obrazy z podróży.
- 15 i 16. Goethe. Cierpienia Wertera.
- 17 La Rochefoucauld. Maksymy.

18. Musset A. Andrea del Sarto.
19. Turgienjew. Pamiętniki myśliwca.
- 20 i 21. Heine H. Księga Pieśni.
- 22 i 23. Szekspir. Otello, tragedia.
24. Świetla. Powieści wiejskie.
25. Mark Twain. Humoreski tom II.
- 26 i 27. Erckman-Chatrian. Pani Teresa.
- 28, 29 i 30. Jean Paul. Hesperus.
31. Mark Twain. Humoreski t. III.
- 32, 33 i 34. Prevost. Manon Lescaut.
35. Lermontow. Demon.
36. Puszkina. Cyganie.
37. Musset Alfred. Ludwisia.
- 38 — 40. Erckmann-Chatrian. Rekrut z 1813 roku.
- 41 i 42. Arystofanes. Rycerze.
43. H. Heine. Melodye Hebrajskie.
- 44 i 45. W. Marrené. Augusta.
46. Henryk Ibsen. Nora.
- 47 i 48. K. Świetla. Z rodzinnej kroniki.
- 49 i 50. L. Börne. Wybór szkiców.
51. Jar. Vrehlicki. Drahomira.
- 52 i 53. Wal. Marrené. Mąż Leonory.
54. Halevy Ludwik. Nowelle.
- 55—57. A. Dumas (syn). Kameljowa Dama.
58. Słowacki Juliusz. Agezylausz.
- 59—62. Erckmann-Chatrian. Najazd.

 Wszystkie te dzieła mogą być nabywane każde oddzielnie tomami.







